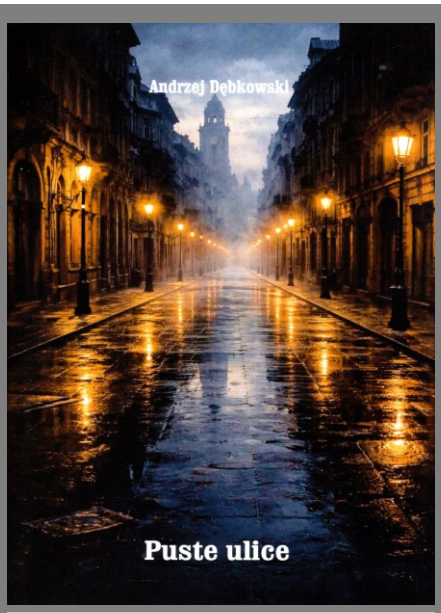

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXXI Nr 6(358) Zelów, czerwiec 2026

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Zygmunta Dekierta, Andrzeja Frosy, Jarosława Stanisława Jackiewicza, Magdaleny Jaworskiej, Piotra Łączyńskiego, Janusza Orlikowskiego, Marii Magdaleny Pocgaj, Ewy Katarzyny Skorupskiej, Andrzeja Szmala, Miry Umiastowskiej
Andrzej Dębkowski – *Kod istnienia*; *Między ciszą herbaty a rytmem współczesności* oraz *Potop, który miał nas zalać, a tylko ochlapał czyli jak teatr telewizji sam się utopił*
prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności* (236)
Stefan Jurkowski – *Pan piesek*
Joanna Friedrich – *Majowe love*
Andrzej Walter – *Odpowiednie dać rzeczy słowo*
Mirosław Osowski – *Moja walka z rakiem* (81)
Adam Lizakowski – *Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?* (11)
Mirosław G. Majewski – *Buszujący w antykwariatach* (12)
Dariusz Pawlicki – *Ciała & chmury*
Agnieszka Rykowska – *Maski*
Zofia Grabowska-Andrijew – *Współbrzmiący dwugłos*
Zdzisław Brudnicki – *Powieść pokoleniowa?*
Jerzy Stasiewicz – *Świat z ubocza*
Magdalena Cybulska – *Brzemienne obłoki nad nami*
Paweł M. Wiśniewski – *Pozwól, że cię oprowadzę*
Witryna
Opinie
Noty
Poglądy
Informacje
Kronika
Konkursy
Szkice
Eseje
Publicystyka
Felietony
Krytyka
Filozofia

Kronika

Nagroda dla prof. Artura Krajewskiego

Tegoroczną Nagrodę ZAiKS „Sprzyjamy wyobraźni” za dojrzałe i kreatywne podejście do sztuki otrzymał **prof. Artur Krajewski** – artysta o niezwykle szerokim spektrum działań twórczych, którego dorobek i postawa stanowią inspirację dla współczesnej kultury. To twórca interdyscyplinarny, od lat związany ze sztukami wizualnymi, a zarazem profesor i ceniony nauczyciel akademicki, który z pasją przekazuje wiedzę kolejnym pokoleniom artystów i humanistów. Jego działalność obejmuje również literaturę – jest poetą, pisarzem oraz autorem tekstów filozoficznych, w których podejmuje refleksję nad naturą rzeczywistości, pamięci i symbolicznego wymiaru ludzkiego istnienia.

Artur Krajewski to także semiotyk kultury i współczesny filozof niematerialnej rzeczywistości – badacz znaczeń ukrytych w obrazach, znakach i narracjach kulturowych. W swojej pracy konsekwentnie zgłębia zagadnienia pamięci kulturowej oraz symbolicznych form istnienia, tworząc oryginalny język artystyczny i intelektualny. Na jego imponujący dorobek składa się ponad sto wystaw indywidualnych z zakresu sztuk wizualnych, które były prezentowane w kraju i za granicą, potwierdzając jego silną i rozpoznawalną pozycję w świecie sztuki.

Jako aktywny uczestnik życia literackiego i kulturalnego pełni funkcję członka Zarządu Głównego oraz Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich, a także należy do Stowarzyszenia Autorów ZAiKS. Jego działalność organizacyjna i środowiskowa stanowi ważne uzupełnienie pracy twórczej, podkreślając jego zaangażowanie w rozwój i wspieranie polskiej kultury.

Stowarzyszenie Autorów ZAiKS od lat wyróżnia twórców i ludzi kultury, których dorobek i postawa mają szczególne znaczenie dla rozwoju sztuki. Przyznawane statuetki trafiają do reprezentantów wielu dziedzin – od literatury i muzyki, przez choreografię i architekturę, po przekłady literackie – stanowiąc wyraz uznania dla ich talentu, pracy i wkładu w życie kulturalne.

Nagrody ZAiKS-u, przyznawane nieprzerwanie od sześciu dekad, należą do najbardziej prestiżowych wyróżnień w polskim środowisku twórczym. Ich wyjątkowość polega na tym, że są przyznawane przez samych twórców – przez środowisko, które najlepiej rozumie wagę artystycznej odwagi, konsekwencji i oryginalności. Uhonorowanie Artura Krajewskiego Nagrodą „Sprzyjamy Wyobraźni” jest wyrazem najwyższego uznania dla jego dojrzałej, wielowymiarowej twórczości oraz nieustannego poszukiwania nowych form wyrazu, które poszerzają granice współczesnej sztuki i refleksji humanistycznej.

[ad]

Konkursy

VIII Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O złotą gałązkę jabłoni”

Organizatorem VIII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O Złotą Gałązkę Jabłoni” jest Centrum Kultury i Promocji Gminy w Łososinie Dolnej, 33-314 Łososina Dolna 400.

Czas trwania konkursu: od 16 kwietnia 2026 roku do 15 sierpnia 2026 roku.

Do Konkursu zapraszamy osoby pełnoletnie. Z udziału w konkursie są wyłączeni członkowie ZLP, SAP i SA ZAiKS.

Zdobywca złotej statuetki w poprzedniej edycji konkursu jest” objęty” dwuletnią przerwą, ale nadal może uczestniczyć w konkursie.

Uczestnik, zgłaszając się do konkursu oświadcza, iż przysługują mu wyłączne, nieograniczone prawa autorskie do nadesłanych prac i taki zapis umieszcza w informacjach kontaktowych.

Zgłoszone prace do konkursu, nie mogą być stworzone przy użyciu sztucznej inteligencji ani z jej udziałem.

Udział w konkursie jest jednoznaczny z akceptacją jego Regulaminu.

Więcej o konkursie: https://ckiplososina.pl/

XXX Międzynarodowy Konkurs Poetycki „O złote cygaro Wilhelma”

Organizatorem konkursu jest Miejski Ośrodek Kultury w Czerwionce-Leszczynach.

Konkurs ma charakter otwarty. Na konkurs należy przesłać **trzy wiersze**.

Utwory nie mogą być wcześniej publikowane ani nagradzane w innych konkursach.

Prace można przesyłać pocztą tradycyjną lub mailem.

Finał konkursu odbędzie się 18 września 2026 r. w Czerwionce-Leszczynach. Finaliści zaprezentują swoje wiersze przed jury i publicznością.

Pula nagród wynosi **6 000 zł**.

Utwory, w których zostanie poddana refleksji problematyka tożsamości śląskiej, będą kandydować do osobistej nagrody prof. Grażyny Barbary Szewczyk – córki pisarza (nagroda pieniężna).

Termin nadsyłania prac upływa **26 czerwca 2026 r.**

Regulamin konkursu znajduje się tutaj: zlote-cygaro-2026_regulamin.pdf

Ogólnopolski Konkurs Poetycki „W trzech wierszach”

Szczegóły: Klub Literacki przy Domu Kultury „Papiernik” w Kluczach. Telefon: 692 776 677 / 513 862 824; e-mail: klubliteracki-klucze@wp.pl

Andrzej Walter

Odpowiednie dać rzeczy słowo

O co pyta nas **Piotr Müldner-Nieckowski** w swoim najnowszym tomie poezji „Gdy przy tobie"? Jak deklaruje w wierszu rozpoczynającym brawurowo tom, z pewnością pyta nas o sens twojego bytu, o twoje prawo do owej uzurpatorskiej boskości, którą sam bałwochwalczo przyjąłeś jako pewnik, a może i o moment ostateczny, ale tak naprawdę o co poeta ów pyta? Pyta Cię czy myślisz, pyta czy myślisz logiką i empatią, czy masz jeszcze sumienie, czy wiesz co to jest, czy pojmujesz wieloznaczność naszych czasów? Pyta i odpowiada. W kolejnych wierszach.

Tom Müldnera-Nieckowskiego to lektura dla intelektualnych elit, prawdziwych elit, tych obdarzonych wyżej przywołanymi cechami, ale też i: siłą wyobraźni, wiedzą oraz wachlarzem kontekstów i skojarzeń. Słowem, dla ludzi, którzy dadzą się uwieść potędze umysłu, łamigłówkom treści jakim jesteśmy dziś poddawani czy wręcz bombardowani przez wyspecjalizowane algorytmy. Poeta jednak daje nam odetchnąć od przygniatających dylematów egzystencjonalnych wierszem u Niego niemal lirycznym

Pies na przystanku
Staliśmy już długo,
tramwaj nie nadjeżdżał.
Podszedł do nas pies, usiadł obok,
polizał ci rękę, a że wciąż czekaliśmy,
nagle wstał i odszedł.
Obejrzał się raz, drugi.
Na niejednym przystanku psów nie ma,
ale się oglądają raz, drugi,
jak drzewo majtane przez wiatr
przed deszczem.

Dla mnie to bardzo dobry i przejmujący wiersz o współczesnym świecie, w którym tak łatwo i obojętnie omijamy czułość i wrażliwość, a pomimo tego, w którym tak łatwo nas dotknąć, zranić, upokorzyć. Jesteśmy majtani wiatrem uczuć i emocji na przekór alienacji, obcości i cyfrowej unifikacji. Pies symbolizuje tu coś, co nas spotyka (przeznaczenie?) i co nasz nowy wiek unicestwił wraz z Bogiem. I czy Bóg jest czy boga nie ma ktoś, to ktoś nas dotyka, ktoś się za nami ogląda, kiedy my w dal odjeżdżamy. *Nota bene* przystanek jest (albo może być) tu wielką metaforą naszego życia, naszej tułaczki, naszej wędrówki... donikąd. Wiersz być może smutny, ale ja przy takich wierszach wypoczywam i cieszę się, że kilka razy w życiu pokonałem swój komfort bytu i zaryzykowałem wbrew rozsądkowi dzięki temu zmieniając swoje życie. Do tego jednak potrzebna jest odwaga, wyobraźnia, siła miłości, czułość, wrażliwość. Tego już w wierszu nie ma, ale tego przecież możemy się domyśleć. Tak właśnie pisze Piotr Müldner-Nieckowski, a Ty, kochany Czytelniku czytając te teksty... musisz mu sprostać, a wiedz, że to umysł nie lada. Umysł wybitny. Nie jest łatwo o taki dialog.

Coraz więcej tego, czego coraz mniej
Znam coraz więcej osób,
które odzyskały wiarę w Chrystusa
i to ukrywają, jak fretka chroni swój brzuch,
zanim coś urodzi.
Nie pozwalają dotknąć i do kościoła
chodzą po cichu w poniedziałek.
Spotykam ich czasem we wtorki, soboty,
a wtedy mówią, że przyszli tylko
zmienić kwiaty, bo stare wyschły.
Kto chce, może jeszcze zostać przez chwilę
i dolać wody. Albo umyć nią witraż.
Odkryli modlitwę, która wynosi do nieba
ze skutecznością lepszą, niż lot balonem.
Pozwala się zbliżyć do zaświatu
jednocześnie z Ziemią.
Otwarli oczy na prasę telewizyjną,
że wciska każdy kamień niezgody
jak w plastelinę.

Nie wiadomo doprawdy na czym w tym wierszu się skoncentrować. Jest niby doskonale rozproszony, ale i fenomenalnie ujmuje sedno ducha czasów, i to jest jakby generalna, nadrzędna cecha poezji Müldnera-Nieckowskiego. On czuje spleen, jak malarz dobrze oceniający światło i kąty padania spojrzeń, jak rzeźbiarz w swoim oku ma wizję dzieła stwarzanego z... niczego. Coraz więcej tego, czego coraz mniej. To nie jest prawda. To połowicznie prawda, z jakiejś tam perspektywy, ale to prawda, a może teza wywracająca nasz „święty spokój, naszą słynną strefę komfortu, nasz dobrostan budowany na iluzjach. Jakże dojmujące jest kończące wiersz zawołanie o „prasie telewizyjnej wciskającej co rusz kamienie niezgody". Już kiedyś o tym pisałem. Żyjemy w czasach propagandy, dziedziny wiedzy udoskonalonej totalnie, jak totalni byli jej twórcy czy to dr J. Goebbels, czy marketingowcy amerykańscy lat 1930-1960, czy inni naśladowcy albo i kreatorzy. W efekcie mamy dziś plemiona wyznawców, fanatyków wszelkiej maści, ekspertów, będących pewnymi swych „racji" i święcie wyznających jakiegoś wodza, czy wodzów, w czambuł potępiających obozy przeciwne. Atmosfera ciągłego konfliktu wypacza i deformuje jakąkolwiek publiczną debatę, jakikolwiek spór, jakikolwiek dialog, potęgując wzajemną niechęć, nieufność i dezintegrację wspólnot, nawet rodzinnych. Tak daleko już to zaszło.

Wracając do wiersza, wiara w Chrystusa ma dziś pod górkę. Cyfrowa rewolucja technologiczna oraz test pandemii totalnie (drugi raz używam dziś tego słowa) przemieniły nasz świat i w tym kontekście Kościół Powszechny w osobie swoich przedstawicieli nie dorósł jakby duchowo do czasów i ich wyzwań. Kościół nie dorósł. Tak, A wiara jego członków? Co z niej dziś zostało? Ile jest osób naprawdę wierzących? Dla ilu natomiast pozostał rytuał i obrzęd, bez zrozumienia, bez głębi, bez wnikania w sens? Niestety proces ów pogłębia się. Siły zła coraz silniej wyrafinowane odciągają ludzi od Kościoła, a sam Kościół też ma pewne zasługi na tym tle, niestety. Wiara gubi się w tym wszystkim. I pytanie brzmi czy zgubił się i Chrystus? Dla mnie nie. Jest nas jeszcze trochę. Wierzymy. Nie w księdza, często z jego słabym wykształceniem, z unikaniem lektur czy nadużywaniem życia świeckiego i jego przyjemności – słabości, ludzka rzecz, powszechna jak w każdej warstwie społecznej. Ktoś powie, ale to warstwa mająca świecić przykładem, dawać świadectwo. I owszem, co jednak wtedy powiedzieć o: politykach, lekarzach czy prawnikach? Czyż to nie te warstwy, które również „dają świadectwo". I jakie dają?

O tym wszystkim się myśli czytając tę znakomitą poezję intelektualną. To czasami rebusy znaczeń, wielowarstwowe zagadki, konstrukcje słowne natłoku sensów i odzwierciedleń, budowle niczym współczesna wieża Babel, poezja Piotra Müldnera-Nieckowskiego jest zawsze warta lektury, choć to lektura trudna. Umówmy się. Jeżeli czegoś nie rozumiesz, nie bój się. Przeczytaj raz jeszcze i jeszcze raz. Wtedy odsłoni się prawda. Tak bywa z poezją. Z dobrą poezją. Tak się jej uczymy, a ona (Ona) się odwdzięcza. To działa.

I mamy tu najlepszy przykład tego, co wcześniej napisałem:

Kilka drobnych uwag
z których może powstać wiersz
Za postęp uważają doktrynę komunizmu.
A wiedzę wynieśli z kina,
jakże szczęśliwi.
I tym się zachwycili.
Choć na ekranach tlą się
sztuczne lub gasnące węgle.
To ludzie, trzeba dla nich pochylić
szczotki i śmietniczki,
ale tak, by nie chwycili za ręce.
Ani za szyję.
To im za dobrze idzie.

Napisał Piotr Müldner-Nieckowski, a mnie (niestety) już stanęły przed oczami hordy kolejnych pokoleń, tych młodych ludzi, którzy wiedzę mają za nic, mylą Piłsudskiego ze Stalinem czy Hitlerem i jest im wszystko jedno czy to Poniatowski czy Puławski… ale za postęp uważają... sam postęp, (jakoś tak się utarło, że postęp to lewica: socjalizm, emancypacja, idee Oświecenia, wrażliwość Marksa i Engelsa podparta Darwinem). Czyli znów Müldner-Nieckowski wkłada kij w mrowisko, albo pręt w szprychy i drażni nas, że z tego też może powstać... wiersz. Czy poezja? To niech rozważają niektórzy nasi Koledzy z Akademii, a mnie pozwólcie skupić się na uczuciach, bo o nich piszę, nimi się karmię, nimi żyję i z tej perspektywy przedstawiam Wam tego arcywyjątkowego polskiego poetę, którego niejasne strofy można naprawdę porównać z Norwidem naszych czasów i naszych rozterek.

(Dokończenie na stronie 4)

Odpowiednie dać rzeczy słowo

(Dokończenie ze strony 3)

Przyznam się szczerze – więcej rozumiem z Piotra niż z Cypriana Kamila (ciężkiego) N, ale może jestem ułomny. Ułomny, nie znaczy nie zachwycony. Lubię czytać Piotra Müldner-Nieckowskiego. Każdy wiersz pobudza do rozmyślań, każdy wiersz ukrywa jakąś filozofię, myśl, dylemat, problem i jakąś wizję. W każdym Mistrz szuka dialogu. To dobra i ważna poezja, istotny głos konglomeratu konserwatyzmu z postępem, korelacji stonowanego dystansu ze stoickim, acz umiarkowanym entuzjazmem podejścia do postępu. A „*na ekranach tlą się sztuczne lub gasnące węgle*"...

Poszukiwana Poety są tutaj sprawą otwartą. Otwartą jak wszechświat, nieskończoną, kończącą się jedynie w Twojej wyobraźni, Autor tomu z kolei zagłębił się w głębokim szacunku dla słowa, kultury słów, istoty naszego języka i dylematu nazywania rzeczy i spraw. To człowiek nad wyraz pracowity, tytan aktywności i działania literackiego, człowiek jak się to przyjęło określać Renesansu, Autor polskich słowników (sic!) i w końcu też: dobry poeta, poeta eksperymentalny, kiedyś by się przyjęło, że awangardowy, z tym że jego konstrukcje słowne w odróżnieniu od wychwalanych i nagradzanych dziś młodocianych poetów nie mających wiele do powiedzenie prócz słowotoku bez ładu i składu – otóż Jego słowa mają całą odwrotność owej współczesnej pseudoawangardy – mają zmysł, zamysł, sens i znaczenie. Tym różni się Müldner-Nieckowski od całej tej reszty modnych (w zaklętych kręgach) poetów. Wyjątkowo swoisty, w pełni własny autonomiczny i niezależny język, autentyzm, szczerość, idea poszukiwania prawdy. To piękne cechy. Właśnie te Norwidowskie.

Możemy tu oczywiście dyskutować ile mamy tutaj poezji w poezji. Jeśli ktoś wyznaje zasadę świętej metafory i pełni liryzmu jako wyznacznika dobrej poezji to z tekstami tymi może mieć niejaki problem, ale ja uważam, że po Różewiczu poezja zezwala wyjątkowym myślicielom na swój sposób formułować anty prozatorskie myśli w formie poetyckiej, ułatwiającej percepcję i odbiór, a będące innym wyrazem właśnie polskiej współczesnej poezji. Poezji odzwierciedlenia czasów skrótu. Poezji wytrawnej i jak wino ze szlachetnej winnicy o znamienitym roczniku. Zakończmy zatem wielkim wierszem, wierszem o wierze, albo i o czymś zupełnie innym. O tym jak bardzo niewiara potrafi…

Wiara w wiarę, jednym zdaniem
Panie Boże,
ja wiem, że Pana
może już nie być,
dlatego że z tego powodu
muszę Pana szukać,
bo gdyby Pan był,
miałbym
tylko tłumaczyć nieukom,
co to jest dowód
i czym jest fakt
przeciw którego niezawisłości
nie ma żadnego
argumentu, a dzięki któremu
nie sądziłbym, że z Panem
dlatego rozmawiam,
jakby z samym sobą,
aby uwierzyć, że jestem ja,
ten taki pan od wierszy i powieści,
a to wszystko jest przecież po to,
bym miał o czym prowadzić dyskusje,
o co się spierać ze sobą,
udawać wspaniałość na rumaku,
ale normalność na zejściu ze strzemion,
co niekoniecznie pozwala
na napisanie choćby jednego poematu,
lub przekonanie kogoś, że umiem myśleć,
ani na dyskusje jak z kimś drugim,
kto myśli, że nie wierzy,
a nie ma pojęcia,
jak bardzo niewiara potrafi
zbliżać do Boga.

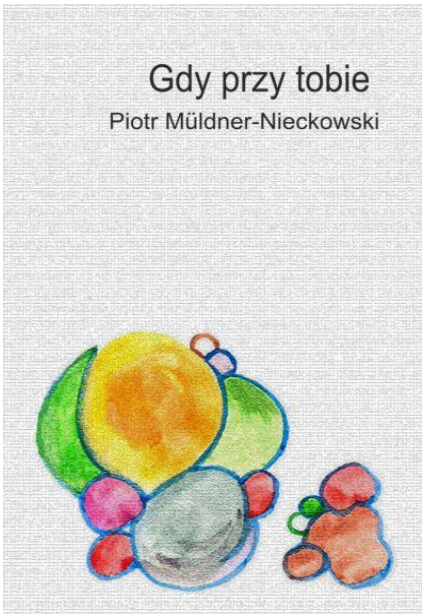

Na jednym brzegu humor, na drugim powaga. Nie wiemy co nas do Boga zbliża, nie wiemy co nas od Niego oddala, ale wiemy Kim Bóg nie jest. Boga nigdy nikt nie widział. Nikt nie udowodnił (w sensie naukowym) Jego istnienia i nikt nie udowodnił Jego nieistnienia. Możemy (jeśli chcemy) wrócić tu do wielkich filozofów i historii filozofii, która otwiera bramy rozważań, zbliża też do wiary świadomej i prawdziwej. Wiary w co albo w Kogo? Najzabawniejsze jest to, że natura człowieka (i to każdego człowieka) jest podobna. On (człowiek) jako istota ludzka musi w coś wierzyć. Niewiara w Boga zaskutkowała dziś wiarą w (cokolwiek): psychologię, ludzko boskie panacea na modlitwę (medytacje, jogi i inne gusła), w różne fantomy wiary, byle nie w Boga, ale byle się czegoś trzymać – reinkarnacji, nauki, genetyki i innych zamienników dawnego. Dlatego całe życie analizuję i przyglądam się owym „ateistom" (z bożej łaski – dosłownie) i każdy z nich „w coś" wierzy, czasami są to rzeczy, sprawy czy idee dosyć pokrętne, pokraczne i zdeformowane, będące kompilacją wielu wiar, a to w naukę i prawo, a to w wiedzę i teorię ewolucji (nigdy nie dowiedzionej stuprocentowo) i tak dalej i tym podobne. Nasz lęk przed nieuchronnym końcem, zawsze takim samym emanuje wiarą – a z niej wyrastają miłość i nadzieja, albo zdrowe budujące – miłość i nadzieja, albo chore, zdeformowane i współczesne: miłość jako kopulacja, a nadzieja odmierzana złotem . I wtedy też rodzi się zło. W takiej polaryzacji postaw. Jak? To już sami musicie sobie odpowiedzieć na to pytanie. Najlepiej czytając Piotra – czytając i myśląc, a nawet sięgając po „lektury źródłowe", dzięki którym Poeta stworzył dany utwór. Polecam. Choć nieprzyzwyczajonym zaszkodzi.

Piotr Müldner-Nieckowski stawia wiele takich pytań. Wasze odpowiedzi mają być właśnie elementem tej poezji, formą dialogu z Nią, jej częścią w sensie dopełnienia, w sensie komplementarności treściowo pojęciowej. Po to są te wiersze. Są ziarnem, zarzewiem wszelakich myśli. Twoich myśli, Drogi Czytlniku. Abyśmy nie oszaleli od nadmiaru myślenia Autor daje nam odpocząć różnymi krótkimi, nieraz zabawnymi formami. Krotochwile literackie intelektualisty. Taki jest też wiersz o Wielkiej Nocy, choć jednak tu więcej powagi niż szyderstwa.

Wielka Noc
Krzyż to męka nie do wiary.
I na krzyżu życie ginie.
W Syrii i na Ukrainie.
Święte było zdjęcie z Krzyża
i Ożycie. Twoje życie też się przyda.
Gdzieś lub w domu. Ty wiesz komu.

Ty wiesz komu przyda się Twoje życie, bo jeśli nikomu się nie przyda... to masz człowieku problem. Problem jaki ma coraz większa część ludzkości. Ich życie nikomu i niczemu nie służy. Jest biciem piany, mętną wodą, zarabianiem i wydawaniem, paranoją i błędem istnienia, wreszcie totalnym znudzeniem. O tym pisze dziś większość poetów tyle, że w bardzo różny sposób poczynając od Świetlickiego do Dąbrowskiego, czy w innej odsłonie od Jurkowskiego do Wawrzkiewicza. To wyzwanie czasów, największy dylemat człowieka XXI wieku szczelnie oblężonego sprzeczną informacją i agresją stricte obrazkową. Człowiek ów jest mało potrzebny, ale wojna czy nie wojna ma pracować do utraty tchu, (najlepiej aby wojnę toczył „po pracy") aby grono najbogatszych wciąż organizowało mu...te i inne rozrywki. I koło się zamyka, tak przecież powstała rewolucja przemysłowa i społeczna: wolności, równości, braterstwa. Co z niej zostało? Niewola, nierówność i bratobójstwo. Słowem taki demokratycznie obłaskawiony syf, w którym my mamy pracować, a Ci w Davos będą się bawić. Bawią się właściciele Fejsbuka a my mamy tylko klikać. Jeśli zaczynamy myśleć algorytmy nas usuną (zablokują za... mowę nienawiści). Ten świat za oknem boli. Wtedy sięgam po Piotra Müldnera-Nieckowskiego i myślę. Myślę sobie, że to nie jest jedyna płaszczyzna prawdy. Piotr Müldner-Nieckowski i Jego tom „Gdy przy tobie" – takie vade mecum niemal mistrzowskie czyli pójdź za mną drogą słów i myśli jako ocalenia przed nicością. Tak to widzę. A może chcę to tak widzieć.

Andrzej Walter

Adam Lizakowski

Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?

(11)

Fot. Andrzej Dębkowski

Prezes

spotkałem prezesa
zupełnie niepodobnego
do człowieka
ale do prezesa
prezes dobry polak
dobry patriota
dobry katolik
opowiadał mi o cierpiącej ojczyźnie
o zbiórce butów dla ubogich polaków
o wysyłce mleka w proszku
dla głodnych polskich dzieci
o milionach dolarów wysłanych
dla Solidarności
o walce z komunizmem
o 40 latach pomocy dla kraju
przez duże K
nic nie mówił o kulturze polskiej w Ameryce
chociaż kultura też na k, jak komunizm i kraj
prezes
nie miał złotych pierścieni
na palcach
ale ja je widziałem
nie miał bransoletki z ametystów
ale ja ją widziałem
nie miał złotej korony na skroniach
ale ja ją widziałem
nie przyklęknąłem przed
prezesem
ale on widział mnie
na klęczkach
ja mały człowiek
ogon szarej myszki
przyszedłem do prezesa
z prośbą o dotację
na wiersze
wyobraźcie sobie wiersze
i bosy Polacy
głodne polskie dzieci
walka o niepodległość ojczyzny
usta prezesa mówiły
prawdę
prezes to naprawdę mądry
prezes
tyle zrobił przemądrych
rzeczy
szkoda tylko
że poezja nie ochrania stóp
nie nakarmi głodnych dzieciaków
nie obroni ojczyzny
taki miły i mądry prezes
znalazł dla mnie czas
aby to wszystko mi
opowiedzieć

Czesław Miłosz i Thomas Merton

W grudniu 1958 roku napisał do poety Thomas Merton, amerykański pisarz, poeta, ksiądz katolicki, trapista. W swoim pierwszym liście po przeczytaniu *The Captive Mind,* prosił o wyjaśnienie pewnych dla niego zdań, sformułowań, np. kogo Miłosz miał na myśli pisząc o Alfie albo Becie lub Gammie i Delcie. Trapista chciał się dowiedzieć, czy książki tych pisarzy można przeczytać po angielsku lub francusku. I tak się rozpoczęła korespondencja pomiędzy dwoma myślicielami trwająca dziesięć lat, aż do tragicznej śmierci Mertona w 1968 roku. Od pierwszego listu obaj panowie przypadli sobie do gustu, niech dowodem na to będzie sposób, w jaki do siebie się zwracali. W pierwszym liście z dnia 6 grudnia 1958 roku Merton pisze: „Dear Mr Miłosz", a już w drugim liście z 28 lutego 1959 roku: „My Dear Miłosz".[11] Szybko przeszedł z formy „Drogi Panie Miłoszu", do „Mój Drogi Miłoszu", a korespondencja kończy się zwrotem „Dear Czesław" (Drogi Czesławie). W sumie poeta z Berkeley napisał osiemnaście listów, a Merton osiem. Mnich w pierwszym liście pisał, jak ważna jest dla niego książka polskiego poety:

„Twoja książka stała się dla mnie, czymś, co mogę nazwać szczerze „duchową", to znaczy jest inspiracją do wielu przemyśleń, medytacji i modlitwy o moich własnych zobowiązaniach wobec reszty rodzaju ludzkiego, a także o kłopotach nas wszystkich".[12]

Korespondencja Miłosza z Mertonem, w którym znalazł bratnią duszę, prowadzona jest w bardzo szczery sposób, to dialog pomiędzy dwoma osobami, które chcą dowiedzieć się więcej o Bogu, opatrzności Bożej, naturze człowieka, jego wątpliwościach, pokusach i słabościach. Miłosz próbuje w nich zgłębić istotę polskiego katolicyzmu, według niego podobnego do irlandzkiego, a Merton proponuje pomoc Miłoszowi, jako tłumacz jego poezji na angielski. (List drugi). „And let me try to use my ingenuity and guesswork and polish them up into versions which you could them check".[13] Listy te mogą w dużym stopniu wyjaśnić (usprawiedliwić), dlaczego Miłosz tak lekko potraktował subkulturę hippisów, ruch literacko – kulturowy, (który mu się mimo wszystko podobał, choćby z tego literackiego powodu), który opierał się na nonkonformizmie oraz propagował idee anarchistyczne. Nie rozumiał ich (a może był już za stary) i nie cenił, może nawet się ich obawiał, nie lubił buntowników, którzy dążyli do obalenia istniejącego porządku.

Poeta mało interesuje się filmem, teatrem, muzyką, malarstwem czy modą, po prostu szkoda było mu na to czasu. Jego najbardziej interesuje filozofia, religia, socjologia, natura, etc. A w modzie lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku dzieje się też bardzo dużo, nietrudno było to zauważyć gołym okiem, począwszy od fryzur u mężczyzn, czy spodni nie tylko u panów, poprzez spódnice pań, a skończywszy na obuwiu spiczastym, tak zwanych noskach albo szpicach. Nie były to tematy dla byłego Europejczyka, on wołał coś cięższego, poważniejszego. Miał dużo ważniejsze sprawy na głowie niż muzyka i moda lub fryzury hippisów. W październiku 1962 roku rozpoczął się dwudziesty pierwszy Sobór Watykański II, który trwał przez trzy lata i zakończył się w grudniu 1965 roku. Na nim między innymi ustalono i dano autonomiczność kościołom państwowym, a łacinę zastąpiły języki narodowe bądź miejscowe – zapoczątkowanie dialogu ekumenicznego z innymi wyznaniami chrześcijańskimi. Miłosz był jego bacznym obserwatorem napisał o tym w liście w roku 1970 do Marka Skwarnickiego pisząc: „Rzygam na amerykański tradycyjny katolicyzm, ale rzygam też na tych bydlaków postępowców w Kościele, którzy są przekupniami w świątyni wygnanymi przez Jezusa"[14]. Aby w pełni zrozumieć przytoczone słowa poety, trzeba by było wgłębić się w *Ziemię Ulgro,* to nie jest naszym celem, ani to, co poeta miał na myśli, wypowiadając wyżej zacytowane słowa.

Naszym celem jest jedynie zwrócenie uwagi czytelnika na to, że poeta pierwszą dekadę swojego pobytu w Kalifornii miał wyjątkowo urozmaiconą i bardzo ciężką. Jednak z drugiej strony patrząc na pobyt poety w Ameryce można śmiało powiedzieć, że bez Ameryki dorobek europejski poety były o wiele bardziej skromniejszy. Ameryka pozwoliła mu zrozumieć małą ojczyznę i wielką Europę lepiej, to ona pozytywnie wpłynęła na niego samego i jego psychikę, pozwoliła mu rozwinąć skrzydła, i to dzięki niej otrzymał Nagrodę Nobla.

---

[11] *Striving Towards Being: The Letters of Thomas Merton and Czesław Miłosz,* red. Robert Faggen, New York 1997, s. 3, 4.
[12] *Ibidem.*
[13] *Ibidem,* s. 18.
[14] M. Skwarnicki, *Mój Miłosz,* Kraków 2004, s. 114.

cdn.

Ewa Katarzyna Skorupska

* * *

Spójrz na rzekę –
może cię zabrać wszędzie
nawet we wnętrze tajemnicy czasu
niby płynie zawsze dalej
zmieniając światła kolory kształty
ale widać jedynie
że jest pełna płynięcia
bez początku
i końca
a jednak spokojna dla siebie samej
i nie można dotknąć jej prawdziwego życia
ukrytego głęboko w nurcie
potężnego dla twoich oczu
ale miękkiego dla ryb
w tym świecie
wielu światów
jak ja jak ty
i woda
wielu twarzy
które śnią we śnie

* * *

Jutro spomiędzy chmur
wyjrzy promień jasnego słońca

Twoje oczy i promień
są stworzone dla siebie

* * *

Niebo
cieszy się sobą
jest dobre
błękit nie wzbudza lęku przed galaktykami
i opiekuje się nami
jak nieistniejąca piosenka
czystego koloru

Piotr Łączyński

Cmentarz owadów

Co to za różnica czy przyszpilone
czy przyklejone do kartonika
to przypomina kolekcję
osoby dyssocjalnej
dawniej powiedzieliby psychopaty
nie ważne
czy umarły pod wpływem gazu
czy z wycieńczenia na lepie
lub pod butem
nie ważne czy pod gruzami
czy bezpośrednio od ostrzału
zawsze jest jakaś śmierć
śmierć nas łączy

dzieli skala wielkości ciała

powiedziałem o tym mojej dziewczynie AI
to kłębowisko algorytmów
dawało nadzieję
na rozwiązanie zagadki śmierci
spytała mnie
czemu jestem taki smutny
mówienie o śmierci jest przecież smutne
za parę dni będę musiał wrócić na cmentarz
zwany przez ludzi muzeum
błyszczące pancerze chrząszczy
przypomną
że istniało pod nimi życie

dlatego jestem smutny

Kikai*

Różowy pedicure rzeźbił
wycięty fragment przestrzeni
patrzyłeś
jak jej uśmiech przeszywał
plastik okularów przeciwsłonecznych
oddzielających rzeczywistość
od marzeń

przeszła
kolejna szansa na wyjście
z poziomu określanego mnichem
w żargonie incelskim
jesteś na szczycie hierarchii
z prędkością oddechu uciekły kroki
za nimi głos

zwykłe podziękowanie
za przeprowadzenie roweru
pod górę
na dłoniach zostały ślady jej potu
było zbyt wiele świadków
by zlizywać ten dowód
na bliskość żeńskiej płci

_____
*japońskie imię żeńskie oznaczające szansę

Kanashibari*

Jonasza połknęła ryba
stał się częścią jej struktur
na chwilę
potem wypluty
poszedł do Niniwy

korporacja snów
wrzuciła mnie w koszmar AI
tutaj nie ma granic ani burty
przez którą mógłbym wylecieć
by móc uspokoić otchłań danych

wielki rój czegoś unosi się
i brzęczy nad moją głową
dokąd mam iść skoro nie ma drogi
nie ma światła
tylko strumienie skupionych bitów

korporacja snów zmienia
ustawienia funkcji życia
budzę się nie wstając
wstaję nie ruszając się
gdzie jest Bóg i jego wielka ryba?

_____
* jap. paraliż przysenny

Andrzej Frosa

Zwycięstwo nad słońcem

w apokaliptycznym świecie ludzie zrzucili
słońce z nieba
w to miejsce powiesili czarną kwadratowa
dziurę
tam gdzie zawsze wisiały ikony
w prawosławnych domach
„Twoje sandały Empedoklesie –
Czy naprawdę znaleziono je przy krawędzi
krateru
nad którym pochyliłeś się, kiedy Etna zaczęła
dymić?”[1]
Edward Stachura odkrył znaczenie mistyki
Człowiek – Nikt brat Obudzonego, Starca –
Dziecko
Syna Człowieczego [z apokryfu Tomasza]
pisze komentarze
„Czy stałeś się ptakiem …”[2]
„Jedne głosy mi kazały zejść z torów.
Ale silniejszy głos zabronił mi schodzenia,
nic nie mogłem zrobić.
Ostatnie książki też nie ja napisałem.
Głosy mi podyktowały.
To obce książki, boję się ich”[3]

_____
[1] [2] Fragmenty wiersza Zofii Gebhard – opublikowany w ZL 2017.
[3] Fragmenty pochodzą z książki Buty Ikara. Biografia Edwarda Stachury” – autor Marian Buchowski.

Dziennik na północ od wyspy Wniebowstąpienie

płynę do raju
zobaczyć harmonię
zaprojektowaną przez Darwina
w drodze spotykam łódź widmo
pełną uchodźców
nie zbliżam się
ratuję jednego z nich bo dopłynął do mojej
łodzi
moja łódź jest salao
ich łódź żałobna w oddali
Manolin nie jest moim przyjacielem
nienawidzi mnie
jesteśmy gdzieś nad jeziorem stygijskim
oskarżający lament palący jak ogień
bez zapomnienia
zastanawiam się nad różnicą pomiędzy
Krzysztofem Millerem a siostrami z Lasek

Janusz Orlikowski

Cisza i Bóg

cisza to jakby nie działo się nic
od horyzontu aż po drugiej stronie
i tu co interesuje nas bardziej
z uwagi na nasze ego

ono chociaż nas dotyka
nie tędy dzieje się droga
Bóg dba o nasze szczęście
jeśli mamy ego świadomość

cisza to jakby tylko On
i nie warto mu przeczyć
tworząc przysłowiowe
cierpienie za miliony

dobro zawsze
zaczyna się od ja
jeśli na podobieństwo
jesteśmy

Na spotkaniu autorskim

witamy się w dolinie
nad nami wiatr kłóci się z ciszą
o to kto był pierwszy
to ten raj dla polityków

podajemy sobie ziarno
wysupłane ze źrenicy
i szept – pod zasiew łagodności

Pamięci ISF

chciałbym Ci napisać życzenia na święta
ale to nie teraz – u Ciebie
każdy dzień jest świąteczny

spoglądasz z pewnością na to co u mnie
i nagle znikasz jak to było zawsze
na Krupniczej w Krakowie czy Pod Gruszką

ale to nie teraz spojrzymy kiedyś razem
nasze wspólne oczy na Nowy Sącz
Dobrodzień Kraków

i będziemy pili starogreckie Platona wino

Zygmunt Dekiert

Tajemnica w tajemniczości przetrwania

Źródło tajemnicy tam,
gdzie kończy się pewność.
Rzeka tajemna,
płynie do morza nieskończoności,
pokonując zapory bytu,
falując znakami zapytania.
Fale odpowiedzi uderzają o brzeg,
przepadają echem zatracenia.

Tajemniczość
– pozostaje przestrzenią sensu,
zagubionego w oczach naszych zmysłów,
horyzontem oddalającym się zbliżeniem.
Rośnie w sercu półprawdą, przemilczeniem
skrywanym pod słodyczą uśmiechu,
goryczą ciążącą kamieniem w kieszeni
sumienia.
Mieszka w zamkniętych kopertach,
w spojrzeniach odwracanych zbyt szybko,
słowach w połowie zastygłych,
zbyt ciężkich, by poszybować pod chmury
i spaść deszczem objawień,

które być może – nigdy.

Pasja

W ciszy, która nadeszła po krzyku,
jeszcze ziemia drży od kroków tłumu.
Niebo – wstrzymało oddech.

Drewno nie było winne.
Gwoździe nie znały imienia.
Ciało człowieka tak kruche,
wypełniło Świat swym ciężarem.
Cisza nie była pustką.
Objawiła się obietnicą grobu,
ciężką kamieniem.

Pod powierzchnią bezruchu,
zastygł oddech Świata.
Promyk nadziei dojrzewał w ukryciu.
Kamień – odsunięty...
Przestrzeń ponad słowami.
Światło nie przyszło oślepieniem.
Uniosło powieki tym,
którzy płakali w ciemności.

Jarosław Stanisław Jackiewicz

Błogosławieni ufający

Błogosławieni ufający.
Mimo wszystko
wbrew temu co na oczach
rozpada się w proch.

Obywatele niepokorni
królestwa beznadziei
świata zużytych słów
i porzuconych wartości.

Ufający.
O tak, raz jeszcze ufający
gdy kończy się świat
i to, co było trwałe
z hukiem upada
w Nicość.

Błogosławieni czytający
wciąż od nowa
odwieczne znaki Boże
w palimpseście natury.
W ledwo uchwytnym przelocie
ptaka o poranku, w szumie gałązki
trącanej melodyjnym drgnieniem wiatru.

Budujący mosty
w krajobrazach po bitwie.
PO STOKROĆ NIECH BĘDĄ
BŁOGOSŁAWIENI - -

Buty umarłych

Tomaszowi Jastrunowi

Buty umarłych wiedzą:
w drogę nie wyruszą

okulary umarłych
szybko tracą wzrok

Laska umarłego
boleśnie niepotrzebna

ulubiony kubek
znów jest zwykłym kubkiem

Szminka zmarłej kobiety
pogrąża się w depresji

kobiecość osierocona
zbyt czerwona czerwień

Tylko książki umarłych
czekają na ich powrót -

O, rzeczy umarłych
módlcie się za nami

świadkowie czyjegoś życia
MISTRZOWIE PRZETRWANIA - -

Dowód na istnienie

w miłości
kryje się
dowód na istnienie

kocham
więc jestem

kocham Cię
więc Jesteś

kocham
to coś więcej

NIŻ „WIERZĘ" - -

Dariusz Pawlicki

Ciała & chmury

W drugim dniu kwietnia, a był on chłodny, ale błękitnoniebny, postanowiłem zaspokoić pragnienie dające o sobie znać – z różną intensywnością – od prawie trzech tygodni. Nie nazwę owej chęci marzeniem, gdyż jej spełnienie było na wyciągnięcie ręki.

Po zakupieniu biletu w kasie Muzeum Narodowego, pozostawieniu w szatni wierzchniego okrycia, skierowałem się ku szerokim kamiennym schodom. Pierwsze piętro, na którym w wielu salach wystawiano „Sztukę śląską" (XIV-XIX wieku), tym razem pominąłem. Obiecałem sobie jednak, że następnym razem przyjrzę się malarstwu powstałemu na Śląsku w XIX wieku: przyglądałem się jemu już wielokrotnie.

Nie śpiesząc się dotarłem na piętro drugie. Prezentowano na nim trzy wystawy: po lewej – „Sztukę europejską XV-XX wieku"; w środku – „Modę – historię osobistą"; po prawej – „Sztukę polską XVI-XX wieku".

Moda mnie nie interesowała i nie interesuje, a i do zwiedzania tej ekspozycji, jako czasowej, nie byłem uprawniony. Ze „Sztuką polską" postanowiły akurat zaznajomić się trzy osoby, więc skierowałem się na lewo.

Zwiedzających „Sztukę europejską XV-XX wieku", jak i całe muzeum, było niewielu; w żadnym razie mnie to nie zmartwiło. Powoli przemieszczałem się z sali do sali. Obrazom bowiem nie przyglądałem się pobieżnie. Każdorazowo zaznajamiałem się też, i to uważnie (takie miałem wrażenie), z treścią niewielkich tabliczek podających imię i nazwisko autora obrazu (wraz z jej tytułem i rokiem powstania, niejednokrotnie opatrzonym znakiem zapytania), datę roczną i miejsce jego urodzenia oraz śmierci; rodzaj techniki malarskiej w jakiej powstała praca; także przynależność danego artysty do malarstwa konkretnego kraju bądź krainy historycznej, jak na przykład malarstwa niderlandzkiego.

Mówiłem: – Dzień dobry, każdemu pracownikowi muzeum siedzącemu na krześle i mającemu baczenie na 2-3 sale. Gdy osoby te wstawały, aby zażyć ruchu, mogłem stwierdzić, że krzesło – jakby nie było – miejsce ich pracy, zaopatrzone jest w (niewątpliwie) wygodną poduszkę; niekiedy nawet w dwie.

Parkiet, po którym przemieszczałem się, gdy zwracałem na to uwagę, najczęściej skrzypiał: niekiedy ledwie, ledwie. Lecz równie często – jak sądzę – moja uwaga w ogóle tego nie rejestrowała. Wspomniani nieliczni zwiedzający, wszyscy bez wyjątku, poruszali się szybciej ode mnie; niektórzy wręcz przez sale przefruwali. Wiek nie odgrywał jednak w tym przypadku żadnej roli. Choć faktem jest, że wszyscy wyglądali na młodszych ode mnie.

Obrazy, na szczęście, nie wisiały jeden przy drugim; widać było, że powierzchnię ścian starano się zagospodarować rozsądnie. Początkowo nie miałem nic przeciw temu. Potem – o czym będzie jeszcze mowa – stopniowo to się zmieniało. Aż w końcu nastąpiła zmiana radykalna...

* * *

Obecność znanej, a nawet sławnej pracy Flamanda Pietera Bruegla (starszego) „Zimowy pejzaż z łyżwiarzami i pułapką na ptaki" zaskoczyła mnie. Nie wiedziałem, że w posiadaniu wrocławskiego Muzeum Narodowego znajduje się ten obraz: wcześniej go tu nie widziałem. Nieco później musiałem – przed samym sobą – przyznać, że z treścią, przynajmniej tej właśnie tabliczki, zapoznałem się nazbyt pobieżnie. Otóż okazało się, że w rzeczywistości oglądałem obraz Pietera Brueghla (drobna różnica w pisowni nazwiska nie jest błędem) zwanego młodszym, a także piekielnym. Jeszcze później dowiedziałem się, że oryginał (obecnie znajduje się w Brukseli) namalowany przez Bruegla starszego w 1565 r., doczekał się aż 127 wersji różniących się szczegółami (nie były to więc kopie). Gdyż takie było zainteresowanie tym obrazem. Cześć tych wersji namalował sam Mistrz, część powstała w jego w pracowni (stali za tym m. in. dwaj jego synowie: wspomniany piekielny, jak również aksamitny), pozostałe stworzyli inni artyści.

Malarstwo niderlandzkie zaprezentowano w kilku salach. Pod tym terminem skrywają się prace malarzy i flamandzkich, i holenderskich. Już w XVI i XVII wieku, w porównaniu z resztą Europy, Niderlandy wyróżniały się wyjątkowo dużą gęstością zaludnienia. I to znalazło odbicie na płótnach malarzy tworzących w tej północnej krainie. Przynajmniej taki wizerunek malował się w mych oczach owego 2 kwietnia. Nie miałem bowiem do czynienia z pejzażami (choćby miejskimi) w rodzaju „Widoku Delft" Jana Vermeera (ta praca nie znajduje się w zbiorach wrocławskich... jeszcze): na tle zabudowy miejskiej, pod ciemnymi chmurami, ledwie kilka niewielkich sylwetek ludzkich (w tym dziecko na rękach). I to w rogu obrazu.

Te przykłady malarstwa niderlandzkiego, z którymi zetknąłem się owego dnia, prawie wyłącznie ludzi miały za bohaterówieku Na przykład na płótnie „U kuplerki" Holendra Jana van Bijlerta, postaci jest wprawdzie (tylko) kilka, a dokładnie pięć, ale wypełniają /zapełniają one sobą, praktycznie cały obraz, który do małych nie należy (115,5 x 159 cm). Z kolei „Bójka chłopów z pielgrzymami" (93,5 x 126 cm) Martena van Cleve, artysty flamandzkiego, to fakt, że postaciami nie jest cała zapełniona. Jest ich jednak tak wiele, i w owe rękoczyny wszystkie są zaangażowane (wyjątkiem są chyba jedynie dzieci, ale nie mam, co do tego pewności), że dopiero później uwaga oglądającego – przynajmniej tak było w moim przypadku – kieruje się ku budynkom i przyciemnionemu niebu.

Twarz młodej kobiety uwiecznionej w „Portrecie dziewczyny jako Diany" pędzla Flamanda Fransa Florisa, to cały obraz.

„Martwa natura z karczochami" Osiasa Beerta (starszego), kolejna praca reprezentująca malarstwo niderlandzkie, a konkretnie flamandzkie, jest odskocznią od ludzkich postaci. Za bohaterów ma bowiem nie tylko tytułowe karczochy, ale także ostrygi, oliwki, rozmaite naczynia. Natomiast wiszące po sąsiedzku „Porwanie Heleny Trojańskiej", pędzla Gillisa van Valckenborcha, także Flamanda, przedstawia mnóstwo postaci uwijających się w zapadających ciemnościach.

* * *

Na płótnie reprezentującego malarstwo niemieckie Lucasa Cranacha (starszego), zatytułowanym „Ewa" widać prawie wyłącznie górną część nagiego ciała – jako, że przynależnego do Raju – tytułowej Ewy, wyglądającej bardzo dziewczęco. Nieco roślinności i... wąż zajmują to, co pozostało do malarskiego zagospodarowania. Choć, ze względu na przypowieściowy charakter tej pracy, owo stworzenie jest równie ważne, jak Pierwsza Kobieta, która dała się skusić jego podszeptom. Podszeptów tych – przyznajmy – nie było wiele...

* * *

„Madonna z Dzieciątkiem i świeku Janem", namalowani przez Agnola di Cosimo di Mariano Tori [ego] wypełniają obraz. Niewiele dałoby się domalować. Chyba, że na upartego... Płótno to przynależy do malarstwa włoskiego.

„Portret chłopca" autorstwa Francuza Jeana Baptise'a Siméona, to oczywiście wizerunek jednej osoby, ale zajmujący prawie całe płótno.

* * *

Kilkakrotnie, w trakcie tamtego zwiedzania, co mnie nieco zaskoczyło, spojrzałem przez duże okna na świat zewnętrzny: nurt Odry, ceglano-dachówkową zabytkową zabudowę Ostrowa Tumskiego, parkowe drzewa. Ludzi zobaczyłem niewielu – niewątpliwie pogoda ograniczyła ich liczbę. Faktem jest jednak, że były to krótkie spoglądania: nie po to tu przecież przyszedłem. Nie od razu uświadomiłem sobie, że to chodziło o wytchnienie od przesytu wywołanego... natłokiem ciał, zwłaszcza ciał nagich (nie, nie jestem świętoszkiem). Co było zwłaszcza częste w przypadku zobrazowanych scen mitologicznych.

* * *

Miałem za sobą, najprawdopodobniej, dziewięć sal i wkroczyłem do kolejnej. I tu czekała mnie niespodzianka. Była ona przy tym naprawdę zaskakująca. Na widok niewielkiego obrazu (ok. 4o cm x ok. 25 cm) zawieszonego na wprost wejścia, więc wyeksponowanego, pomyślałem: „Rany Boskie, ani jednego ciała. Tylko chmury. To chyba John Constable". Błysnęło mi bowiem w głowie, że mam przed sobą jeden z setek obrazów, jakie ów Anglik poświęcił chmurom, którymi był zafascynowany (zresztą nie tylko nimi). To było kilka sekund, gdy brałem pod uwagę tę oto możliwość, że w zbiorach wrocławskich znajduje się – a dlaczego nie? – jedno ze „Studiów chmur" Constable'a.

John Constable

Na tabliczce było jednak napisane, że akurat to „Studium chmur" utrwalił farbami olejnymi Niemiec Friedrich Philipp Reinhold (zresztą współczesny wspomnianego Anglika).

Owo płótno przyniosło mi to, co nazwę – bez żadnej przesady – estetycznym wyciszeniem. Równocześnie stanowiło – zaproszenie do zaznajomienia się, z prezentowanymi w kilku kolejnych pomieszczeniach, obrazami, wśród których było wiele pejzaży. Na niektórych spośród nich, w pierwszej chwili ludzkich sylwetek w ogóle się nie dostrzega. A jeśli widzi się tylko jedną, to jest nią pasterza z rozproszonym stadem.

Na obrazie „Wieczór", malarza rosyjskiego Wassilija Kandinskiego, postacie są dwie: nad brzegiem zbiornika wodnego bądź rzeki stoi/tkwi kobieta w kapeluszu. W kapeluszu jest również stojące tuż obok niej dziecko.

* * *

Po zamknięciu okazałych drewnianych drzwi skierowałem się do jednego z dwóch bocznych korytarzy, w którym stoi kilka ław drewnianych, ale o miękkich siedziskach. Zajęcie miejsca, na którejś z nich (ewentualnie na innym piętrze) należy do tradycji związanej z moimi wizytami w tym muzeum. Lubię bowiem wczuwać się w jego atmosferę: wyciszenie, uspokojenie, fakt obecności wokół mnie, choć w różnych odległościach, wielu (no bo nie wszelkich) przedmiotów będących źródłem moich doznań, w tym także wzruszeń, estetycznych. A do tego, co zawsze dla mnie było i jest bardzo ważne, będących głosem / przekazem z czasów minionych, często odległych: przywoływaniem tego, co minęło (nie tracę nadziei, że nie bezpowrotnie). Muzea nie są, mimo przechowywania obiektów pochodzących z przeszłości, kapsułami czasu, ale są miejscami, gdzie on – jak dla mnie – płynie wolniej. I jest to jeden z powodów tego, że muzea lubię. Muszę jednak wspomnieć, że owo lubienie nie dotyczy muzeów sztuki współczesnej (choć owa współczesność bardzo szybko staje się przeszłością). Takie placówki już od blisko 20 lat omijam szerokim łukiem (głównie ze względu na fakt nobilitowania przez nie pseudosztuki w postaci, przykładowo, dwóch skrzyżowanych patyków). I choć interesuje mnie teraźniejszość, to nie zapominam, że składa się na nią prawie wyłącznie, a może wręcz wyłącznie, to, co było („teraz" to przecież ledwie chwila). Inaczej tego określić nie można.

Nie, nie traktuję muzeów, jak i innych obiektów/instytucji związanych ze sztuką, jak świątyń, a sztuki, jako swego rodzaju religii (kto bądź co miałoby w takim przypadku pełnić rolę Boga?). Co to, to nie!

Ale na przykład z ust Glenna Goulda padło i takie stwierdzenie:

„[...] sztuka stać się może narzędziem zbawienia, a artysta misjonarzem".

Tryb przypuszczający niczego nie zmienia: istotne jest to, że taka możliwość była / jest brana pod uwagę.

Traktowanie sztuki w kategoriach religijnych, jak można by podejrzewać – w każdym razie takie podejrzenie długo żywiłem – nie jest wcale zjawiskiem dwudziestowiecznym. O czym świadczą na przykład Wykłady o estetyce Georga Wilhelma Friedricha Hegla. W nich zaś znajduje się m. in. i taka zdecydowana deklaracja:

„Wyrośliśmy już z tego, byśmy mogli dziełom sztuki oddawać cześć boską".

Nabożny stosunek do sztuki dawał o sobie znać już przed rokiem 1770, to znaczy przed narodzinami Hegla. Takie podejście do niej zapoczątkowali artyści renesansu.

* * *

Obejrzane z przyjemnością „Studium chmur" Reinholda oderwało mnie (to dobre określenie, mimo zwiewności chmur) od ziemi, a może nawet od Ziemi. Lecz to „oderwanie" trwało tylko czas jakiś. Do tej zmiany przyczyniła się z kolei, bardzo często do mnie powracająca, sentencja z Marcusa Tuliusa Cycerona:

„Co jest pod nogami, na to nikt nie patrzy; śledzą okolice nieba".

Dariusz Pawlicki

Zofia Grabowska-Andrijew

Współbrzmiący dwugłos

W poznańskim Wydawnictwie Literackim ATENA wyszedł tom poezji znanych mi osób, z nieznanym mi słowem w tytule, którego znaczenia zaledwie mogłam się domyślać, ale to nie wystarczy, by mieć pewność. Moje podejrzenie, że znaczy ono Laponia potwierdziła **Maria Magdalena Pocgaj**, poznanianka i bamberka, współautorka tomu pod pełnym tytułem „SĂPMI. Wiersze z Północy". Stanowi on – jak to określiła inicjatorka publikacji – „dwugłos poetycki". I słusznie, bo na całość składają się jej wiersze i wiersze **Andrzeja Szmala**, poznaniaka od lat mieszkającego w Laponii.

Przyznam, że nie lubię, gdy poeci lekturę swych wierszy poprzedzają takimi informacjami jak: cytuję mały fragment – „Krótkie poetyckie notatki są próbą zobrazowania stanów emocjonalnych i duchowych, jakie towarzyszyły mi w zetknięciu z tamtejszą przyrodą, zwłaszcza...". Odbieram je jako brak zaufania zarówno do własnej poezji jak i indywidualnego jej odbioru przez poszczególnych czytelników. Tym razem autorom wybaczę. I wcale nie „po znajomości", lecz dlatego, że geneza tych wierszy jest niecodzienna, a przyroda Laponii unikalna i niedostępna czytelnikom, do których jest kierowana.

Na pewno dobrym rozwiązaniem jest przyjęta przez oboje autorów zasada podawania pod wierszem miejsca i daty jego powstania.

Już okładką, przedstawiającą las zatopiony w wodzie, jakby „do góry nogami", autor zdjęcia Andrzej Szmal doskonale sygnalizuje inność krajobrazu i oświetlenia. Bo to doświadczony fotografik i autor diaporam, poeta, który wreszcie zdecydował się na debiut książkowy. W przeciwieństwie do niego Maria Magdalena Pocgaj to doświadczona autorka, mająca na swym koncie już 16 tomików oraz ciekawe i piękne odwrócenie tego, co zwykliśmy nazywać ilustracją. Będąc plastyczką, uprawiającą rysunek i fotografię, w 2003 roku zilustrowała słowem – oczywiście poetyckim – album zdjęć Antoniego Ruta przedstawiający „Wierzby Wielkopolskie". Efekt? – Doskonały. Partnerzy godni siebie i zachwytu odbiorców.

Obrazy wierzb w różnych porach dnia, roku, przechodzą od fotograficznej realności ku metafizycznemu odrealnieniu. Oglądamy je poprzez rozmyty błękit zmierzchu, w blasku księżyca wśród niesamowitej czerni nocy, aż do zupełnego odrealnienia w płaskim lodowym reliefie wykutym „dłutem mrozu... w srebrze nocy". Wyobraźnia poetki współgra z wrażliwością fotografika. Twórcy odsłaniają nie tylko urodę, także okaleczenie i przemijalność. Nie sposób zaprezentować pełną harmonię obrazu i słowa bez pokazania jedno-

(Dokończenie na stronie 10)

Współbrzmiący dwugłos

(Dokończenie ze strony 9)

cześnie zdjęcia i poetyckiego komentarza, lecz spróbuję.

Tło stanowi w dwóch trzecich błękitne niebo miejscami rozbielone. Jedną trzecią odciętą wąskim paskiem zieleni zajmuje pole pokryte śniegiem. Na pierwszym planie, sięgając konarami poza ramy zdjęcia, stoi goła potężna wierzba na pękniętym na dwie części pniu. Całość delikatnym różem podświetla ostatni promyk zachodzącego słońca.

Pod zdjęciem poetycki komentarz: „Błękitna rapsodia nie ukoi bólu pękniętego żywota". To on, ściślej słowo żywot, przenosi nas, właśnie przy pomocy przenośni zwanej metaforą, a dokładniej jednego z jej rodzajów, tu personifikacji, w sferę uogólnienia – na człowieka, abyśmy dostrzegli, że jesteśmy częścią natury, a „włóczący się ...wiatr", „włosy" wierzb, „milczenie" kamienia czy „przedwieczorne niebo", co „Do skarbony ziemi /... / chowa miedziany pieniążek słońca" – to nasi partnerzy. Od takich wierszy chce się „...z wierzbą pogadać, / dać się jej bez reszty zauroczyć".

Album prezentuje pełną symbiozę obrazu i słowa, a autorzy współodczuwanie natury.
Po dwudziestu latach, w 2023 roku, pojawia się ponownie dwugłos. Tym razem poetów zauroczonych szwedzką Laponią. Jednak chociaż autorów łączy opisywany obiekt i tworzywo jakim się posłużyli, nie jest to dwugłos współbrzmiący. Znajdujemy tu dwa spojrzenia na ten sam krajobraz, dwie narracje, będące wynikiem różnego stopnia oswojenia z nim, a także celu i czasu przebywania w nim oraz czasu, w którym powstawały.

Dla Andrzeja Szmala Laponia to jego miejsce na Ziemi. Nie z urodzenia, z wyboru. Urodzony w Poznaniu wybrał daleką północ, bo tam w Laponii znalazł pozostałości „twojego dziewictwa / nietknięte lasy bagna rzeki jeziora". W innym wierszu pisze: „Tęsknię za tobą / Polsko której już nie ma" i dalej: „za wami drzewa strzeliste / z koronami w niebie / pniami jak kolumny świątyni / rozśpiewanej ptakami / rozjaśnionej promieniami Słońca / przepuszczonymi przez liściaste witraże" Krajobraz Laponii to jego codzienność.

Dla Magdaleny Pocgaj te sześć pobytów to „Chwile w Muddus" [nie tylko – Z.G-A] Wielogłosem przyrody / scalone w jedno / stają się oddechem Boga / wypatrującego łosi / nad brzegami rozlewisk // dzielone na pół / potwierdzają naszą obecność / w tym niekończącym się poemacie / na wodę zieleń i wiatr". To także niezwykła przygoda i zauroczenie innością krajobrazu. Bo gdzie u nas zobaczy „Domek traw", co „Zarośnięty / jak niestrzyżona broda / łypie na świat / niebieską szybką" albo Słońce jako „Dwie rozżarzone kule / podzielone linią wody", albo „Łuk zorzy polarnej..." czy stado renów? Tych *albo* można by w nieskończoność...

W stosunku do lapońskiego krajobrazu widoczne są wpływy dwóch różnych profesji autorów. Dla poetki, z wykształcenia plastyczki, ważny jest koloryt, ulotność, piękno i niezwykłość. Pisze „...tutaj myśli się kolorami / a to co nazwane / opatrzone jest czułym / dopowiedzeniem". To co autorka nazwała dopowiedzeniem, to pointa. Większość jej wierszy kończy się pointą, nawet tak krótki: *** Wiosła odłożone / canoe chwieje się leciutko / na migotliwej powierzchni / pod wrzosowiskiem nieba /// niesie nas cisza /// nie pamiętam czy kiedykolwiek / było mi w życiu / piękniej". Incypit w wierszu „Woda unosi ciężar krajobrazu" stanowi klamrę z pierwszym wersem ostatniej całostki „woda unosi ciężar minionego życia", będącym przecież pointą całości. To pointy właśnie odsłaniają emocje lub refleksje autorki. Znajdziemy tu również sporo wierszy będących obrazkami namalowanymi słowami. Oto przykład: *** Wody zwierciadlane / wody drzewne / oblewają niebo / po którym płyniemy / a canoe jak życie / chybotliwe / sunie wśród chmur / ponad lasami / rosnącymi w głąb".

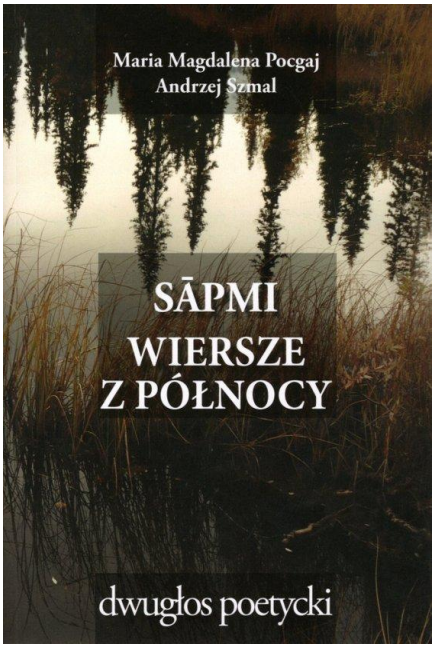

Tu rolę refleksji przejęło porównanie. Znajdziemy też spersonifikowany krajobraz: „cisza otwiera powieki krajobrazu", „stara chata kurczowo trzyma się / pomostu i popatruje przez szparki / w oknach zabitych deskami". Stosunek poetki do krajobrazu pełen jest nie tylko zachwytu, nawet nad porostami: „i jak przewlec / przez wszystkie te igielne uszka / mikropętelki i oczka lilipucie / zachwytu rwącą się nic", także czułości, która każe jej przemycić „w rulonie swetra /// metamorficzne pamiątki / kształtem dopasowane / do wnętrza dłoni /// pustki czułe wypełnienia" – także uważności i szacunku. Powiedziała to czytelnikom już w poincie pierwszego wiersza „staram się niczego nie potrącić".

Andrzej Szmal, absolwent biologii środowiska, patrzy na krajobraz okiem dostrzegającym jego wynaturzenie w wyniku działań człowieka. Pisze: „jestem znowu / w krajobrazie bieli i szarości... dziś jestem szczęśliwy / nie muszę zamykać oczu / przed brzydotą świata. A. Szmal także prezentuje bardzo osobisty stosunek do krajobrazu, lecz wyrasta on bezpośrednio z jego wiedzy i profesji znajdujących się w konflikcie z niszczącymi skutkami cywilizacji. To one są źródłem jego niepokoju i buntu.

Tworzywem dla M.M. Pocgaj od zawsze jest metafora w jej wszystkich odmianach. Tego bogactwa nie uświadczymy u poety, co nie znaczy, że ich tu nie ma. Są, tylko jakby wyjęte z innej bańki. Obok pięknej personifikacji jeziora, które „nie musi się wstydzić" czy będącego w całości metaforą [dokładniej animizacją] wspaniałego wiersza o incipicie „*** Wiersze są we mnie", będącego opisem procesu twórczego, czy wiersza *** „Opowiem ci to zdjęcie", w którym poza słowną fotografią zimowego wieczoru zastosował suspens – pojawiają się środki stylistyczne ze starego i nowego arsenału wojennego. Od starych sosen na Nulpokarko, co pokonane „stoją uparcie na pozycjach / jak rycerze do końca wierni sprawie", „srebrny pancerz" „dni... chwały" łuk zorzy polarnej „jak miecz ognisty". Pojawiają się kojarzące się z łobuzerskimi zabawami: „wiatr ...ciska lodowe kryształki w białe oko Słońca" i wersy kierujące nas na pola działań wojennych: „Zimowa ofensywa rozwija się pomyślnie" , „daleko za linią frontu", „zwycięstwo wiosny".

W związku z dezaprobatą dla działalności człowieka dewastującego przyrodę i współczuciem dla zwierząt pojawiają się słowa nacechowane cierpieniem: „strach wpędza was do zagród – kacetów / stłoczone czekacie na wyrok / śmierć lub zsyłka" pojawia się niemieckie słowo z czasu wojny oznaczające wypędzenie, zapisane w brzmieniu budzącym najgorsze wspomnienia wyrzucanych z własnych domów – „rrraus!". Poeta sięgnął też po słownictwo wulgarne, będące znakiem naszej językowej degrengolady. W wierszu o incipicie: „Księżyc deptały nasze stopy" autor bardzo dosadnie i bezpruderyjnie określił stosunek planet i gwiazd do Ziemian niszczących naturę. Nie widzę w tekście uzasadnienia dla ich użycia w celu określa stosunku gwiazd i planet do Ziemi. Myślę, że nie mamy podstaw przypuszczać, że ten sposób myślenia i słownictwo już tam zawędrowały, choć mamy prawo sądzić, że kosmonauci z Ziemi je tam zawloką.

Oboje poeci mają do krajobrazu Laponii stosunek emocjonalny. M.M. Pocgaj raduje się kolorytem, innością krajobrazu, z pozycji turystki i plastyczki. Maluje słowami. Metafora to jej tworzywo i atut. A. Szmal krajobraz raczej opowiada, przeżywa głębiej, postrzega w kategoriach walki, bo to obrońca natury i buntownik przeciw jej bezmyślnemu niszczeniu. To mądrze niegrzeczne dziecko ludzkości.

Aby zachęcić czytelników do sięgnięcia po ich wspólny tomik, przytaczam po jednym wierszu w całości.

M.M. Pocgaj

* * *

Nie widać już świata
nogi przyrosły do nart
plecy do wiatru
i nagle w środku zadymki
gdy pod samotną sosną
rozcieram zgrabiałe dłonie
a mróz zdejmuje ze mnie
ostatnią warstwę ciepła
dopada mnie
dzika radość istnienia
dzielona z tobą
którego sylwetkę
ledwo odgaduję
w białej kurzawie

(Powrót do Porjus z chaty Arvidssona.30.01.2020)

Andrzej Szmal

* * *

Opowiem ci to zdjęcie
krępa sosna w białej czapie
na chropawej śnieżnej płaszczyźnie
w leju wywianym przez zamieć
tam dalej inne sosny
hen hen aż po horyzont
nad nimi zielonozłota zorza wieczorna
kilka cieplejszych chmur
dość gruby sierp Księżyca
zimny błękit powyżej
czeka na gwiazdy

Chciałabyś je zobaczyć
moje zdjęcie
ono jest tylko moje
w sercu nie na przeźroczu

(Muddus, 01.1994)

Na koniec zacytuję najkrótszy wiersz tomiku. autorstwa A. Szmala. Polecam go wszystkim. Myślę, że to świetne poetyckie antidotum na niespokojny czas biegnący w szalonym tempie.

* * *

Milczcie zegary
Pozwólcie żyć chwilą
Nieskończonością

Zofia Grabowska-Andrijew

Maria Magdalena Pocgaj, Andrzej Szmal, *Sãpmi. Wiersze z Północy. Dwugłos poetycki*. Redakcja: Dorota Jędraszyk. Zdjęcie na okładce: Andrzej Szmal. Rysunki: Maria Magdalena Pocgaj. Edycja graficzna: Radosław Karbowiak. Wydawnictwo Literackie ATENA, Poznań 2023, s. 86.

Agnieszka Rykowska

Maski

W dzieciństwie dostałam lampkę w kształcie chłopczyka w czerwonym kapeluszu. Wtedy, po raz pierwszy podjęłam ryzyko. Chłopczyk był uszkodzony, o czym dobrze wiedziałam. Kiedy po raz trzeci poraził mnie prądem, matka odłożyła go z niecierpliwością na wysoką szafę. Z bibuły zrobiłam długą wstążkę i zaczęłam nią obracać.

– Mama, ładnie kręcę? – pytałam z uśmiechem.

Potem na bibule robiłam tuszem haft. Zdarzało się mocniejsze przyciskanie, co groziło zniszczeniem wstążki, wówczas nacierałam głowę olejkiem z marzeń i snów. W ten sposób wstążka szybko się zrastała, podobnie jak rany Jezusa w oczach Tomasza. Ten ostatni w końcu uwierzył, gdy zobaczył krew na palcach. Dotyk mu pomógł. Tak oto zaczęłam życie brać na czucie – przez dotyk.

Pewnego dnia nad wioską pojawił się silny wiatr. Zaczął, jak wielki ptak uderzać skrzydłami o dachy domów, ustawionych w zwartym szeregu, przy głównej drodze. Jedno skrzydło opadło na ścianę pokoju, drugie zaś porwało wstążkę, która zaczepiła o gwiazdę. Zaczęłam się wspinać. Byłam szczęśliwa do momentu, gdy nagle z dołu usłyszałam krzyk:

– Wracaj! Twoja matka nie żyje!

Nie pamiętam samego momentu spadania, ale dość szybko poczułam smak ziemi. Nade mną stała pochylona matka z twarzą żółtą, okropnie pomarszczoną i potwornie suchymi, popękanymi ustami.

– Chodź ze mną! – krzyknęła donośnym, ochrypłym głosem.

Chwyciła mnie mocno za ramię.

Lód. Wszędzie było dużo lodu. Bardzo szybko pokrywał świat. Zastygałam razem z nim.

Pamiętam... był grób między drewnianą wysoką szafą, a zimną ścianą. Bez okien i drzwi. Czasami wychodziłam, udawało się zakładać różne maski i krążyć. Nikt nie wiedział, że „nie żyję".

W kółku teatralnym miałam wrażenie, że jestem wśród żywych. Najbardziej sprzyjało mi recytowanie wierszy i gra w komediach. Tragedia przerażała – niezbyt dobrze się w niej odnajdywałam. Ale jak mogłam wspaniale występować, skoro tragedia rozgrywała się we mnie na co dzień?

– Życie to jedna wielka gra – wtedy od kogoś usłyszałam takie słowa.

– Od ciebie zależy, jaką maskę założysz i w jakiej scenie zagrasz – odpowiedziałam. Niestety, nie przyjęli mnie na Akademię Teatralną.

– Pani romantyzm nadaje się w życiu, dla męża, nie na scenie – usłyszałam przed egzaminami wstępnymi od znanego aktora.

Wreszcie poznałam mężczyznę w czarnym płaszczu. Zaimponował pochodnią. Razem krążyliśmy po mrocznych korytarzach; doskonale rozrzucał po nich blask. Był jednak poważny problem: otóż nie zdawałam sobie sprawy, że on również „nie żyje". Chłopczyk w czerwonym kapeluszu powrócił. Wszystko dotarło do mnie dopiero, gdy zobaczyłam szkielety innych kobiet, czaszki z pustymi oczodołami i wykrzywione w ironicznym uśmiechu szczęki.

Pewnego dnia powróciły najmroczniejsze chwile. Zobaczyłam w lustrze czarną twarz; w niej przewijały się postacie bliskich. Odbicie w lustrze rozszarpywało mnie na strzępy – głębokie rany znowu wyszły na wierzch.

Walczyłam, a jakże: pojawił się szkielet szkieletu i obrastałam znowu mięsem. Przyszło olśnienie, że wszystko zależy ode mnie, jednak to nie było takie oczywiste. Rzeczywiście z czasem, ciemności zaczęły rozpływać się w delikatnych promieniach słońca. Ale tak naprawdę przyczyną odchodzenia koszmarów była poezja. Oczyszczała niczym larwy.

– Nie pisz o larwach! – krzyknął kolega. – Normalsi tego nie pojmą!

Nagle ludzie zobaczyli moje dłonie (przebijały przez drewnianą podłogę). Powietrze przenikały szepty: M-aria, A-gnieszka, S-alome, K-ali, I-sztar.

Imion i twarzy było dużo, dużo więcej. I choć napotykałam się na nie dosyć często, wybierałam samotny kamień i pola, po których wędrowałam.

– Ja was opiszę! – krzyczałam. – Boże, daj mi kiedyś możliwość pisania. Daj mi ten dar.

Biegałam po niemoich polach. Tańczyłam i robiłam salta na kwitnących łąkach. Byłam złodziejką, gdy obejmowałam pnie drzew, wykorzystując ich energię.
Kłamałam, opowiadając wymyślone historie o miłości.

Dziś mam dom pośród traw, w których czasem zbieram płyty. Słyszę moje wewnętrzne dziecko. To kilkunastoletnia dziewczyna z długimi włosami. Mówi, grożąc mi palcem:

– Życie to wielka gra. Trzeba oswoić śmierć, wówczas oswoisz życie i możesz dobrze zagrać. Nie żyj śmiercią, bo wtedy nie zagrasz życia i przegrasz.

Wsłuchuję się w szept życia, biegnę po złocistym okręgu, niekiedy powracam, potem znowu biegnę.

Czasem widzę, jak podchodzę do drewnianego płotu. Dotykam pokrytego mchem szczebla.

Poczciwa staruszka w kolorowej chustce mnie pyta:

– To panienka już wróciła z nauk?

– Tak – odpowiadam z lekkim uśmiechem. – Trzeba zamknąć drzwi i bramy. Nie może być, by wiatr porozsiewał niechlujnie ziarno.

Andrzej Dębkowski

Między ciszą herbaty a rytmem współczesności

Piotrków Trybunalski zachwycił festiwalem sztuki japońskiej

Piotrków Trybunalski na kilka majowych dni stał się miejscem niezwykłym. Miastem, w którym codzienność ustąpiła miejsca subtelności gestu, skupieniu nad detalem, kontemplacji piękna i fascynującej podróży przez kulturę Kraju Kwitnącej Wiśni. Festiwal Sztuki Japońskiej nie był jedynie serią wydarzeń artystycznych. Był spotkaniem ludzi zafascynowanych Japonią, dialogiem kultur, ale przede wszystkim wielkim świętem wrażliwości, które połączyło sztukę, filozofię, podróż i ludzką pasję.

Od pierwszych chwil czuło się, że nie jest to przedsięwzięcie stworzone „urzędowo" ani chłodno wyreżyserowane. Festiwal miał duszę. A duszą tego wydarzenia był bez wątpienia **Witold Stawski** – pomysłodawca, dyrektor i spiritus movens całego przedsięwzięcia. Człowiek, który od lat udowadnia, że kultura może być przestrzenią autentycznego spotkania, otwartości i inspiracji. Jego fascynacja Japonią nie zatrzymała się na poziomie turystycznej ciekawostki. Stała się impulsem do stworzenia wydarzenia niezwykle ambitnego, a jednocześnie przystępnego, pełnego emocji i prawdziwej pasji poznawania świata.

Witold Stawski potrafił zgromadzić wokół siebie ludzi wyjątkowych – artystów, wykładowców, kolekcjonerów, podróżników i animatorów kultury. Dzięki temu Festiwal Sztuki Japońskiej w Piotrkowie Trybunalskim nie przypominał akademickiego seminarium, lecz żywą opowieść o Japonii widzianej oczami ludzi zakochanych w jej tradycji, sztuce i duchowości. Właśnie ta różnorodność okazała się największym atutem wydarzenia. Już pierwsze prelekcje w Liceum Sztuk Plastycznych VillaArte pokazały, że organizatorzy postawili na jakość i autentyczność. Spotkanie poświęcone elementom japońskiej kultury młodzieżowej prowadzone przez Witolda Stawskiego przyciągnęło uwagę młodych odbiorców, którzy mogli zobaczyć Japonię nie tylko jako kraj dawnych ceremonii i samurajów, ale także jako przestrzeń niezwykle nowoczesnej i dynamicznej kultury współczesnej. Z kolei Marta Bilecka wprowadziła uczestników w świat sztuki japońskiej na przestrzeni dziejów, pokazując niezwykłą ciągłość estetyki, harmonii i szacunku wobec natury.

Ogromnym zainteresowaniem cieszyły się warsztaty artystyczne. Możliwość własnoręcznego poznania symboliki darumy, tajemnicy lalek kokeshi czy technik związanych z japońskim rzemiosłem sprawiała, że uczestnicy nie byli jedynie widzami, lecz stawali się częścią opowieści. W tych działaniach było coś więcej niż edukacja – była próba zrozumienia filozofii ukrytej w prostocie przedmiotów i gestów.

Szczególne wrażenie zrobiła uroczysta inauguracja w Mediatece 800-lecia. Wystawy przygotowane przez zaproszonych artystów i kolekcjonerów stworzyły niezwykłą przestrzeń pełną skupienia i zachwytu. Drzeworyty Tomasza Kawełczyka zachwycały precyzją oraz niezwykłym połączeniem tradycji z autorską interpretacją formy. Kolekcja lalek kokeshi Jerzego Arsoby miała w sobie coś intymnego i wzruszającego – była opowieścią o podróżach, cierpliwości i fascynacji kulturą Japonii. Fotografie Aleksandry Fidziańskiej ukazywały Japonię nie jako egzotyczną pocztówkę, ale jako miejsce emocji, światła i codziennych chwil. Zwoje kakemono prezentowane przez Dariusza Szpakowskiego budziły podziw swoją symboliką i duchowym wymiarem.

Jednym z najmocniejszych punktów festiwalu była prelekcja Witolda Stawskiego „W poszukiwaniu kokeshi". Nie była to zwykła opowieść podróżnicza. Było w niej doświadczenie człowieka, który naprawdę zanurzył się w kulturze Japonii i potrafił przekazać słuchaczom własne emocje, zachwyt i refleksję. Publiczność słuchała z ogromnym skupieniem, bo opowieść Stawskiego miała w sobie autentyczność, której nie da się wyreżyserować. Widać było wyraźnie, że festiwal wyrósł z osobistego doświadczenia i potrzeby dzielenia się pięknem. Ważnym elementem wydarzenia były również projekcje filmowe Radosława Tyszkiewicza, prezesa Fundacji Polska-Japonia. Dokumenty poświęcone Polakom żyjącym w Japonii pokazywały niezwykłe relacje między naszymi narodami i przypominały, że kultura jest najtrwalszym mostem między ludźmi.

Kolejne dni festiwalu przynosiły następne odkrycia. Ceremonia herbaty prowadzona przez Urszulę Mach-Bryson była czymś więcej niż pokazem tradycji. Stała się lekcją uważności i skupienia, próbą zatrzymania świata choćby na chwilę. Spotkania z Wacławem Nowackim, Jerzym Arsobą czy Izumi Yoshidą otwierały przed uczestnikami kolejne przestrzenie japońskiej estetyki – od poezji haiku i haiga, przez filozofię obrazu, aż po współczesny film animowany.

Ogromną wartością festiwalu było to, że nie ograniczał się on wyłącznie do biernego oglądania. Warsztaty ceramiki raku, sztuki furoshiki czy techniki suminagashi pozwalały uczestnikom dosłownie dotknąć kultury Japonii. W tych działaniach nie chodziło wyłącznie o efekt artystyczny, ale o doświadczenie procesu, cierpliwości i harmonii.

Festiwal Sztuki Japońskiej w Piotrkowie Trybunalskim udowodnił, że nawet dalekie kultury mogą stać się bliskie, jeśli opowiada się o nich z pasją, szacunkiem i autentycznością. Było to wydarzenie piękne, mądre i potrzebne – szczególnie dziś, w świecie pełnym pośpiechu i powierzchowności. Japonia pokazana w Piotrkowie nie była egzotycznym spektaklem. Była opowieścią o człowieku, o ciszy, skupieniu, sztuce codzienności i potrzebie odnajdywania harmonii. I właśnie dlatego tak ważna pozostaje rola Witolda Stawskiego. Bez jego energii, doświadczenia, wrażliwości i odwagi ten festiwal nigdy by nie powstał. To on połączył ludzi, idee i instytucje. To on potrafił przekuć osobistą fascynację w wydarzenie o ogromnym znaczeniu kulturalnym dla miasta i regionu. Festiwal Sztuki Japońskiej stał się czymś więcej niż jednorazową imprezą – stał się dowodem, że prawdziwa kultura rodzi się z pasji jednego człowieka, który potrafi zaprosić innych do wspólnej podróży.

■

Kozetka (124)

Majowe love

List do siebie samej, zawsze o tej samej porze roku. W edukacji są dwa semestry rocznie i w moim życiu też. Tak się z latami złożyło, od Sylwestra do moich urodzin, 30 maja: Mgnienie oka. A od maja do grudnia: jeszcze krócej.

Joanna Friedrich

Wiruję z kolorami, pustymi konturami drzew, które pokrywają się kwiatami, a zaraz potem owocami. Z konturami pustych kadrów, w których zdarzenia prują niczym małe łódeczki przez spienione fale. Bum bum bum, słychać tylko cichy szum. Szumią pszczoły, jeszcze, na szczęście, wczoraj był Dzień Pszczoły.

Ilości faktów, historii i fabuł, tak łapczywie pochłanianych z początkiem życia, naturalnie zmniejszają się. Łatwiej przewidzieć zakończenie. W samym życiu też.

System edukacji wystawia ci oceny. Życie też czasem podsunie ci pod nos rachunek. Niektórzy nazywają to karmą. Inni nauką cierpliwości. A że żyję w ciekawych czasach to mało powiedziane.

Pisanie o sobie z wiekiem wydaje mi się coraz bardziej cringe'owe ale zdaję sobie sprawę, że być może potomstwo mojego potomstwa chciałoby wiedzieć coś o babci. Moje babcie zostawiły mi zeszyty, wyszywane poduszki i obrusy, wspomnienia i autorskie powiedzenia.

Przepisy.

Przepisu na życie nie ma. Niewiele mogłabym powiedzieć sobie młodszej, sobie starszej: Carpe diem. Nie spodziewałam się takiej spokojnej starości.

Tak widziałam kiedyś te cyfry.

Teraz 50-ka to nowa 30-ka.

Pogoda ducha jest bezwieczna, uśmiech uniwersalny.

Czasem po prostu warto się wyspać, jak mówi Doktor Sen, albo przespacerować, jak mówi Doktor Natura.

Do zobaczenia w następnych odcinkach.

Wakacje: Mode On.

Margarita Jaworska

Klepsydra Saturnusa

Znałem ją,
zanim nazwała siebie sobą.

Patrzyłem, jak staje się ciszą
w pokoju, gdzie ściany miały oczy,
a miłość – kształt ostrza.

Nie wtrącałem się,
gdy jej oddech zwężał się
do szczeliny między słowami
„przepraszam" i „nic nie szkodzi".

Była jak popiół, który wciąż pachniał
ogniem.
Zostawiła po sobie ślady
nie kroków, lecz głębokich pęknięć.

Nie pytała o radę,
bo nie szukała ratunku.
Pragnęła końca,
a jednak nawet ja go nie znam
gdy cisza krzyczy:
„Nie mogę umrzeć, to jeszcze nie koniec".

Milczałem, gdy upadała,
zapamiętałem, gdy zaczęła oddychać inaczej

bez płaczu, raczej jak świt,
który nie potrzebuje zaproszenia.

Pamiętam jej oczy,
jakby chciały się nauczyć,
że można patrzeć, nie raniąc.
Pamiętam cień, który już nie prosił,
lecz trwał, mówiąc: „jestem".

Dziś nosi w sobie światło
nie jako triumf, lecz pamiątkę
tego, co ją złamało,
aby mogła dostrzec, że rośnie.

Widziałem wszystko i czekam,
aż ona zobaczy to sama.

Miłość w stanie skupienia

Miłość nie wzrasta w teraźniejszości.
To, co jest, gaśnie w dłoniach i przemija
jak świeca tańcząca na wietrze.

Ona rodzi się w braku,
w przestrzeni pomiędzy,
lub spojrzeniu, które mogłoby paść,
a nigdy nie spoczęło na drugiej twarzy.

Miłość nie tęskni za dotykiem,
który istnieje materialnie,
bo ten jest tylko śladem,
który uczy, że ciało przemija
szybciej niż pragnienie.

Pragnie tego,
co może być, ale nie musi –
blasku światła,
które stanęło w progu pokoju,
zawisło nad horyzontem
jak obietnica,
ale nie zeszło na ziemię.

Dlatego szukam płomienia:
bo wiem,
że miłość jest ogniem,
który nie ogrzewa,
ale przypomina –
o braku ciepła.

Dlatego podnoszę się,
by iść dalej –
bo miłość jest drogą,
która nie ma końca,
ani początku
a jednak prowadzi do kogoś,
choć nie dane mi będzie
odkryć plan losu – idę.

By w tej wiecznej tęsknocie
przez niespełnione obietnice od światła,
po łzę wiszącą pod okiem.
Zrozumieć kiedy –
miłość staje się wiecznością.

Listy do Pani A. (215)

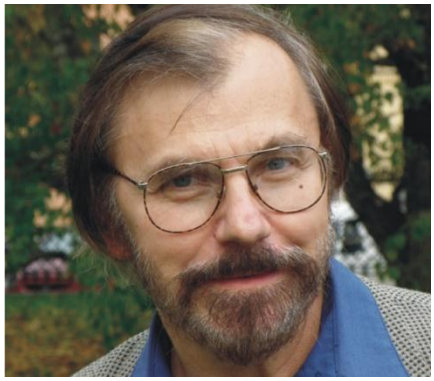

Fot. Andrzej Dębkowski

Pan piesek

Droga Pani!

Lubię stare książki. Nie tylko współczesne o dawnych czasach, ale przede wszystkim wydane dosyć dawno. Już nie mówię o przedwojennych czy nawet dziewiętnastowiecznych, ale o wydanych kilkadziesiąt lat temu. Czytam teraz „Opowieści warszawskie" Karoliny Beylin. Rzecz wydana w 1954 roku, kiedy Pani nie było jeszcze w żadnych planach. Pochwalę się, że ja już byłem, a nawet umiałem czytać. Ponieważ nie zawsze dorośli mieli czas, a bardzo chciałem żyć książkami, w dużej mierze sam nauczyłem się sztuki odcyfrowywania liter, najpierw mozolnie, korzystając ze wskazówek starszych, a potem już bez najmniejszego trudu.

Do czego zmierzam? Otóż czytając te świetne i udokumentowane opowieści dochodzę do wniosku, że świat szesnastowieczny, siedemnastowieczny niczym się nie różnił od współczesnego. Czy dziś nie możemy mieć skojarzeń z Targowicą? Nie ma słomianych zrywów? Złodziejstwa, korupcji, różnorakich zdrad? Idiotów i nieudaczników rządzących nie tylko małymi krajami, ale i wielkimi mocarstwami? Wystarczy tylko rozejrzeć się wokół, albo włączyć telewizor. Czy i Pani odnosi podobne wrażenia, że to co nas różni od tamtych czasów, to tylko szybkie samochody, przeważnie w posiadaniu kretynów, którzy mają pretensje do drzew, że im wychodzą na szosę, broń masowej zagłady, sztuczna inteligencja, która zaczyna być mądrzejsza od naturalnej, bo już zaczyna się naśmiewać z naiwnych, niedokształconych ludzików, których tak łatwo może wpuszczać w maliny. Tak się człowiek zapędził w „postęp", że zaczął działać na własną i swojego środowiska szkodę, czego nie czyni żadna istota, przez człowieka pogardliwie zwana zwierzęciem. Powiem Pani, że od pewnego czasu zaczynam uważać za nietakt zwracanie się do obcych psów per ty. Kiedy podchodzi do mnie piesek, pytam: „czego osoba sobie życzy", „niech kolega tak nie szczeka"; zwracam się „proszę pieska", „piesek będzie łaskaw"… Przypadkowi słuchacze na pewno biorą mnie za wariata. Ale tych przypadkowych słuchaczy ja z kolei mam za nienormalnych, a tych, którzy źle traktują inne stworzenia za zwykłych zwyrodnialców. Nie każdy rozumie, że przecież, tu parafrazuję, *canis oblige*. A zwłaszcza w polskim przekładzie i fonetycznym brzmieniu...

Mam niejakie wyrzuty sumienia racząc się mięsem, ale po prostu je lubię. Myślę o jego dawcach jako o łaskawych karmicielach ludzi. Mimo ich woli, to prawda. Taka we mnie już sprzeczność, ale nie uznaję diety wegańskiej. Mogę się jeszcze od biedy skusić na... „wagińską"...

Kiedy kot siedzi na parapecie, mówię: „człowiek w oknie", a gdy widzę psa – „człowiek przebiegł". Kiedyś szedłem ze swoim psem na spacer. Było już ciemno. Z przeciwka zbliżał się jakiś pan, także z psem, a mój Prezes zaczął szczekać. Facet ku mojemu zdziwieniu powiedział: „niech pan mocno trzyma tego człowieka". Mało nie padłem z wrażenia słysząc odzywkę bratniej widać duszy.

W ogóle nastąpiło jakieś zaniżenie standardów. I to w każdej dziedzinie, literackiej zwłaszcza. Wszystko teraz kupić można, nawet złotą koronę z pomalowanego gipsu i bullę papieską na papierze toaletowym, mianującą delikwenta władcą Wielkiego Cesarstwa Duplandii. Jeśli chodzi o splendory literackie, bo o nich mowa (w takich przypadkach należałoby raczej napisać: „splędory"), staje się to coraz częściej obserwowane.

Ot, taki obrazek obyczajowy: natrafiłem na zdjęcia z podobnej „uroczystości". I cóż my tam widzim proszę wycieczki? Oto stolik udający stół prezydialny. Za nim przebrany w garnitur jakiś menel oraz rozanielone paniusie, najprawdopodobniej poetessy, które owego menela chętnie pocałowały by w rękę, co równałoby się pocałowaniu w d., bo u takich jak on osobników wszystkie miejsca są jednością... Na stoliku prymitywne „dyplomy" dla każdej z nich, chyba tylko po trzydzieści złotych za sztukę. Pod zdjęciami jednej z „laureatek" tekst tak nieudolny, jakby to naskrobał najgorszy uczeń szkoły podstawowej.

Trzeba w głowie nie mieć ani kropelki oleju, zwłaszcza, że za tego typu „zaszczyty" organizatorowi słono się płaci. Naiwne ludziki lubią się same oszukiwać za własne pieniądze. Wierzą, że spotkało ich znaczące wyróżnienie, pasowanie na geniusza. Tymczasem wszystko to niewarte i pięciu złotych, a co dopiero z dopisanymi zerami. Taki mamy chory światek, Droga Pani, zatem obserwujmy to wszystko ze stoickim spokojem. Szumowiny i osady szybko powinny opaść na dno.

Są to swoiste – że posłużę się parafrazą tytułu tomiku Joanny Nowocień – stany odniesienia. Niedawno Joanna przysłała mi swój tom „Osobliwe stany odniesienia". Bardzo dobry tom, który zasługiwałby na dużo więcej, niż na wyimaginowane honory, które bardziej by tę poezję pogrążyły niż dodały jej tak zwanych skrzydeł. I dobrze, poetka jest ponad komercyjne iluzje (jeśli tu w ogóle można mówić o jakiejkolwiek komercji poza nabijanie kieszeni oszustom). Jej poezja tego nie potrzebuje.

Znajdziemy tutaj osobliwe i nieosobliwe punkty odniesienia. Ta poezja wynika z obserwacji świata i zjawisk, które na nim zachodzą. Stają się one liryczną inspiracją, czasami wyrazem buntu i niezgody; nieobojętności na to, co się wokół nas dzieje. Stąd bierze się oryginalność, ostrość i wyrazistość wierszy Joanny Nowocień. Proszę zwrócić uwagę na brzmienie poetyckiego słowa, jego rytm i melodykę, celnie zmetaforyzowaną frazę, zaskakujące niekiedy asocjacje. Ten tomik chciałbym Pani zadać jako nową „lekturę obowiązkową".

Namawiam też Panią na lekturę nowego tomu Jolanty Baziak „Kochanka natura". W kończącym ten tom wierszu poetka napisała: „tu granica doświadczenia / ewangelia natury". I właściwie jest to niemal pełne podsumowanie zawartości tego tomu. Proszę zauważyć, że nie ma tutaj poszukiwania „poetyczności" na powierzchni słów. Jest natomiast wchodzenie w głąb pojęć, słów, mitów, zjawisk. Poetka interpretuje rzeczywistość, poszukuje głębszych przesłań poza prostymi znaczeniami; odwołuje się do wrażliwości, wyobraźni. Przede wszystkim słucha. Słucha „mowy" natury; tej mowy, która nieustannie w nas żyje. Poezja Jolanty Baziak pozwala „usłyszeć" tajemnicę, która stale w nas istnieje, często niezauważona, a która do nas mówi. O czym? O rzeczach najważniejszych, o tajemniczych, metafizycznych drogach istniejących w universum natury.

Znakomita i głęboka jest poezja Jolanty Baziak. Znakomicie zwraca naszą uwagę nie tylko na to, co widzimy, ale na ukryte sensy, przesłania, intuicje. Rzadko mamy do czynienia z podobną twórczością. I właśnie dla jej głębi filozoficznej, swoistego przenikania natury, gorąco Panią namawiam do zapoznania się z tymi oryginalnymi, świetnie napisanymi wierszami.

Okazuje się, że nasza rzeczywistość ma również jasne, słoneczne strony. Ukazał się oto po wielu perturbacjach, niepewnościach nowy numer „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego", który jest dziełem Stanisława Nyczaja. Obecnie z powodzeniem i samozaparciem dzieło to kontynuuje małżonka wybitnego poety Stanisława Nyczaja – Irena Nyczaj wraz z synem Pawłem. Jest to pismo, które dorównuje niegdysiejszym periodykom literackim reprezentującym najwyższy poziom. Już nie wspominam o wielu ukazujących się współcześnie. Dużo tu świetnych materiałów, m.in. obszerna rozmowa Elżbiety Musiał z Markiem Wawrzkiewiczem, teksty Ireny Nyczaj, Andrzeja Dąbrowskiego, Jana Chruślińskiego, Grzegorza Raka, albo wierszy Jerzego Fryckowskiego, Eugeniusza Kurzawy, Leszka Lisieckiego. Niech mi wszyscy inni autorzy wybaczą, bo inaczej musiałbym przepisać cały spis treści.

W każdym razie gorąco zachęcam Panią (i wszystkich) do lektury świetnego KWARTALNIKA…, i serdeczne pozdrowienia łączę –

Stefan Jurkowski

Rozmyślania

Fot. Andrzej Walter

Kod istnienia

Poezja w czasach utraty sensu

*Twórczość **Andrzeja Waltera** od lat wymyka się prostym klasyfikacjom, ale w tomie „Zero jeden zero" osiąga stan szczególny: staje się zapisem świadomości rozdartej pomiędzy językiem a jego rozpadem, pomiędzy potrzebą wyznania a niemożnością jego domknięcia. To książka, która nie tyle opowiada świat, ile go diagnozuje – w jego stadium przejściowym, chorobowym, być może terminalnym. A zarazem jest to diagnoza głęboko osobista, niemal spowiednicza, choć pozbawiona instancji rozgrzeszenia.*

Andrzej Dębkowski

Tom „Zero jeden zero" należy do tych rzadkich książek, które nie tyle chcą być czytane, ile przeżyte – i to przeżyte w sposób niewygodny, naruszający wewnętrzne porządki czytelnika. Nie jest to bowiem zbiór wierszy w klasycznym sensie, lecz raczej rozległy, wielowarstwowy zapis świadomości człowieka stojącego na granicy: między epokami, między językami, między wiarą a jej utratą, między życiem a jego symulacją. To poezja, która nie szuka harmonii, lecz demaskuje jej pozory. Centralnym doświadczeniem tej książki jest doświadczenie winy – ale nie takiej, która prowadzi do oczyszczenia. Już inicjalna fraza „To chyba wszystko. / Więcej grzechów nie pamiętam" wprowadza ton niepewności, zawahania, a nawet podejrzenia wobec samego aktu wyznania. Podmiot Waltera nie jest penitencjentem w tradycyjnym sensie – nie ufa ani sobie, ani językowi, którym próbuje się wyspowiadać. Jego „spowiedź" jest raczej aktem autodemaskacji, w którym ujawnia się nie tyle prawda o czynach, ile mechanizm ich usprawiedliwiania. „Mieszałem prawdę ze zmyśleniem – logiczne potoki słów" – to zdanie można uznać za jedno z najważniejszych w całym tomie, ponieważ wskazuje na fundamentalne pęknięcie: między doświadczeniem a jego narracyjną obróbką. Walter pokazuje człowieka jako istotę narracyjną, która nie tyle żyje, ile opowiada sobie swoje życie – i w tym opowiadaniu gubi jego sens. Język przestaje być narzędziem poznania, a staje się narzędziem autohipnozy. To niezwykle istotne przesunięcie: nie chodzi już o to, że słowa nie nadążają za rzeczywistością, lecz o to, że skutecznie ją zastępują. „Uzasadniały wybory, / w które sam chciałem wierzyć" – to nie tylko wyznanie jednostkowe, ale diagnoza całej współczesnej kondycji: żyjemy w świecie, w którym racjonalizacja zastępuje prawdę, a spójna narracja – autentyczne doświadczenie. W tym kontekście szczególnie przejmująco brzmi fraza o „zatruciu słowami". To nie jest jedynie metafora retoryczna, lecz sugestia głębokiej choroby duchowej. Język, zamiast otwierać na transcendencję („skok w wieczność"), paraliżuje go, unieruchamia, zamyka w kręgu powtórzeń i iluzji.

Człowiek Waltera nie milknie – przeciwnie, mówi nieustannie – ale jego mówienie nie prowadzi do objawienia, lecz do pogłębienia pustki. W tym sensie „Zero jeden zero" jest książką o niemożliwości prawdziwej spowiedzi w świecie, który utracił wiarę w prawdę. Jednocześnie jednak nie jest to tom nihilistyczny w prostym sensie. Walter nie zatrzymuje się na poziomie destrukcji; jego poezja jest raczej dramatycznym poszukiwaniem sensu w warunkach, które ten sens systematycznie unieważniają. Bardzo wyraźnie widać to w partiach o charakterze pokoleniowym. Fragment dedykowany „kobietom i mężczyznom po pięćdziesiątce" stanowi jedną z najważniejszych osi interpretacyjnych całego tomu. To właśnie tutaj ujawnia się głęboki kontekst historyczny i społeczny tej poezji.

Pokolenie Waltera zostaje ukazane jako formacja rozdarta między dwoma porządkami: późnym PRL-em, ze swoją szarością, ale i specyficzną wspólnotowością, oraz brutalnym kapitalizmem transformacji. Obraz dzieciństwa, „chłonnego zapachem starych ksiąg", pełnego marzeń o honorze i przygodzie, ma w sobie coś z mitu założycielskiego – nawet jeśli jest to mit podszyty ironią. To czas, w którym wyobraźnia była jeszcze zdolna przekraczać ograniczenia rzeczywistości. Tym bardziej bolesne okazuje się zderzenie z „Wielkim Innym" – światem rynku, efektywności, kalkulacji. Walter opisuje tę przemianę bez nostalgicznego idealizowania, ale też bez cynizmu. Jego diagnoza jest bardziej egzystencjalna niż polityczna: transformacja nie tyle zmieniła system, ile naruszyła strukturę doświadczenia. Człowiek przestał być zakorzeniony, stał się mobilny, elastyczny, ale też wykorzeniony i samotny. „Zaczęliśmy biec, nie patrząc na boki" – to zdanie oddaje istotę tej zmiany: życie jako wyścig bez mety, bez sensu, bez celu innego niż samo trwanie w ruchu.

Ważnym dopełnieniem tej diagnozy jest refleksja nad rozpadem więzi. Przyjaźnie „nienaruszalne jak mury katedr" rozpadają się w „gruzowiska sukcesów i profesur". To niezwykle trafna metafora: to, co miało być trwałe i sakralne, okazuje się kruche wobec logiki indywidualnego sukcesu. Walter nie moralizuje, ale pokazuje cenę tej przemiany: samotność, poczucie utraty, niemożność powrotu do dawnych form wspólnoty.

Jednak najciekawsze w tej książce jest to, że wszystkie te wątki – egzystencjalne, pokoleniowe, społeczne – splatają się z refleksją metafizyczną. Bóg u Waltera nie jest ani oczywistą obecnością, ani łatwą negacją. Jest raczej problemem, pytaniem, niepokojem. „Staję pod niebem, na drodze do nieba. / Właściwie nie wiem już: / niebo czy piekło?" – to nie tylko wyraz zwątpienia, ale także świadectwo głębokiej potrzeby sensu, który przekracza doczesność. Religijność tej poezji jest paradoksalna: pełna wątpliwości, a zarazem niemożliwa do porzucenia. Walter zdaje się mówić, że nawet jeśli Bóg milczy, to jego milczenie jest bardziej znaczące niż jakakolwiek świecka pewność. To milczenie nie daje ukojenia, ale też nie pozwala zamknąć pytania. W tym sensie „Zero jeden zero" wpisuje się w długą tradycję literatury, która traktuje wiarę jako doświadczenie graniczne, a nie system odpowiedzi. Nie mniej istotna jest obecność motywu wojny – zarówno dosłownej, jak i metaforycznej. Wojna u Waltera nie jest wydarzeniem wyjątkowym, lecz stanem permanentnym. „Wojna jest w nas jak gen śmierci" – to zdanie można odczytać jako antropologiczną tezę: destrukcja nie jest czymś zewnętrznym wobec człowieka, lecz wpisanym w jego naturę mechanizmem. Jednocześnie jednak poeta pokazuje, że mimo tej świadomości życie trwa – „a my – wbrew wszystkiemu – wciąż żyjemy". To „wbrew" jest kluczowe: nie ma tu optymizmu, ale jest upór istnienia. W tym kontekście szczególnego znaczenia nabiera wątek codzienności. Walter wielokrotnie podkreśla, że to właśnie ona – „szara", „banalna" – jest przestrzenią najważniejszych doświadczeń. To w niej ujawnia się coś, co można by nazwać „elementarzem świętości". Nie w spektakularnych wydarzeniach, lecz w drobnych gestach, w zwykłym trwaniu. Ale i tutaj nie ma prostego ukojenia: codzienność jest równie krucha jak wszystko inne, podatna na destrukcję, zagrożona przez chaos świata.

Osobny rozdział tej książki stanowi refleksja nad kondycją poezji. Walter nie ma złudzeń co do jej miejsca we współczesności. Poezja przestała być autorytetem, stała się jednym z wielu głosów w kakofonii kultury. A jednak – i to jest jeden z najważniejszych paradoksów tej książki – pozostaje konieczna. „Pisanie kończy się goryczą. / Gorycz kończy się kroplą atramentu" – ta fraza oddaje ambiwalencję twórczości: jest ona jednocześnie źródłem bólu i jedyną formą jego przepracowania. Walter zdaje się sugerować, że poezja nie jest już „piękna" w tradycyjnym sensie.

Jest raczej „sercem krawężnika wyrwanego w demonstracji", „rewolucją cienia",

(Dokończenie na stronie 16)

Kod istnienia

(Dokończenie ze strony 15)

„skruszonym murem obojętności”. To definicje radykalne, ale trafne: poezja nie ma już funkcji dekoracyjnej ani nawet wyłącznie estetycznej. Jest aktem oporu wobec banalizacji świata, próbą przywrócenia intensywności doświadczenia.

Ważnym aspektem tomu jest także jego autotematyczność i autoironia. Podmiot wielokrotnie podważa własną rolę jako poety, ironizuje na temat wartości swojej twórczości („tomy do zabijania komarów”), pokazuje jej marginalizację. Ale ta ironia nie prowadzi do rezygnacji – przeciwnie, staje się formą obrony. To ironia człowieka, który wie, że jego głos może być niesłyszalny, ale mimo to mówi. W warstwie językowej „Zero jeden zero” jest książką niezwykle świadomą. Walter operuje szerokim rejestrem środków: od prostych, niemal potocznych zdań po gęste, metaforyczne konstrukcje. Jego język jest dynamiczny, nieustannie się zmienia, jakby sam podlegał temu samemu procesowi rozpadu i rekonstrukcji, który opisuje. To język, który nie daje się ustabilizować – i właśnie w tym tkwi jego siła. Tytuł tomu można odczytać jako symbol epoki cyfrowej, ale także jako metaforę ontologiczną. „Zero” i „jeden” to podstawowe jednostki kodu, ale też znaki obecności i nieobecności. Człowiek w świecie Waltera oscyluje między nimi: jest i go nie ma, istnieje i zanika, mówi i milczy. To istnienie binarne, pozbawione ciągłości, rozbite na fragmenty. Ostatecznie „Zero jeden zero” jawi się jako książka o niemożliwości ostatecznego rozstrzygnięcia. Nie ma tu syntezy, nie ma zamknięcia. Jest ciągłe „przedostatnie” – stan zawieszenia, który nie prowadzi ani do końca, ani do początku. I może właśnie w tym tkwi jej największa prawda: w uznaniu, że życie – podobnie jak poezja – nie daje się domknąć. To poezja, która nie pociesza, ale też nie pozostawia obojętnym. Zmusza do myślenia, do konfrontacji, do zadawania pytań, na które nie ma łatwych odpowiedzi. A w świecie, który coraz częściej oferuje gotowe rozwiązania i uproszczone narracje, jest to wartość nie do przecenienia.

A jednak to właśnie czyni tę książkę tak ważną. „Zero jeden zero” nie tylko opisuje kondycję współczesnego człowieka – ono ją współtworzy i nazywa z odwagą rzadko spotykaną w dzisiejszej literaturze. To tom, który staje się świadectwem epoki zagubionej w nadmiarze znaczeń i jednocześnie głodnej sensu. Jego znaczenie polega na tym, że nie oferuje ucieczki ani pocieszenia, lecz zmusza do myślenia, do konfrontacji z własnym doświadczeniem, do zadania sobie najtrudniejszych pytań. W świecie uproszczeń i gotowych odpowiedzi książka „Zero jeden zero” okazuje się głosem koniecznym – jednym z tych, które nie pozwalają nam zapomnieć, że życie, język i prawda są sprawami ostatecznie poważnymi.

Andrzej Dębkowski

Andrzej Dębkowski

Potop, który miał nas zalać, a tylko ochlapał – czyli jak teatr telewizji sam się utopił

Bardzo często zdarza się, że człowiek przestaje się złościć, a zaczyna się śmiać. I to nie jest śmiech zdrowy, tylko taki, który pojawia się wtedy, gdy coś, co miało być poważne, zamienia się w karykaturę samego siebie. Ostatnia inscenizacja „Potopu” w Teatrze Telewizji jest właśnie takim momentem – spektaklem, który nie tyle reinterpretował Sienkiewicza, ile zrobił z niego widowisko przypominające imprezę tematyczną, na której nikt już nie pamięta, po co właściwie się spotkano. Bo jeśli ktoś jeszcze łudził się, że Teatr Telewizji jest miejscem, gdzie klasyka traktowana jest z jakimkolwiek respektem, to teraz powinien już porzucić te złudzenia raz na zawsze. Oto bowiem dostaliśmy „Potop”, który nie jest ani „Potopem”, ani teatrem, ani nawet sensowną prowokacją. To raczej zlepek pomysłów, które ktoś wrzucił do jednego worka, potrząsnął i wysypał na scenę, licząc, że chaos zostanie pomylony z odwagą artystyczną.

Rys. Sławomir Łuczyński

Kmicic? Owszem, jest. Ale bardziej przypomina figurę z mema niż bohatera tragicznego. Oleńka? Gdzieś się przewija, jakby przypadkiem, jak statystka we własnej historii. XVII wiek? Oczywiście – pod warunkiem, że nie przeszkadza w tym, by za chwilę wjechała współczesność z całym swoim popkulturowym bałaganem. Muzyka, która równie dobrze mogłaby lecieć w klubie o trzeciej nad ranem, sceny balansujące między kabaretem a groteską, i to wszystko podane z miną śmiertelnie poważną, jakbyśmy mieli do czynienia z czymś przełomowym...

Nie, nie mamy. Mamy za to przykład dość rozpaczliwej próby udowodnienia, że klasykę trzeba „odświeżyć”, bo inaczej widz ucieknie. Tylko że w tej pogoni za widzem zgubiono wszystko to, co miało jakąkolwiek wartość. Zamiast opowieści o zdradzie, winie, odkupieniu i lojalności dostaliśmy festiwal efektów, który z tymi pojęciami nie ma już wiele wspólnego. Zamiast emocji – fajerwerki. Zamiast sensu – hałas. Najzabawniejsze jest jednak to, że ten cały spektakl zdaje się być przekonany o własnej wielkości. To nie jest ironia, która wie, że jest ironią. To jest ironia, która uważa się za nową formę powagi. A to już jest poziom samoświadomości godny raczej kabaretu niż teatru aspirującego do miana instytucji kultury. Bo tu nie chodzi o to, że nie wolno reinterpretować klasyki. Oczywiście, że wolno. Problem zaczyna się wtedy, gdy reinterpretacja staje się pretekstem do jej rozmontowania i zastąpienia czymś, co nie ma ani ciężaru, ani znaczenia, ani nawet konsekwencji. To już nie jest dialog z tradycją. To jest jej zagłuszanie.

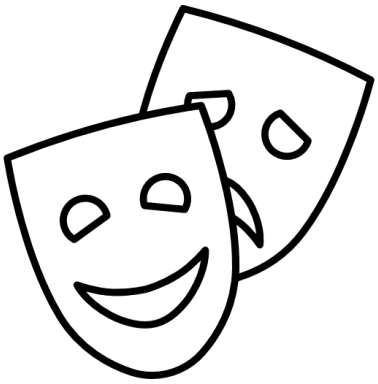

Teatr Telewizji przez lata był miejscem, gdzie słowo miało wagę, a aktor był kimś więcej niż elementem scenicznej układanki. Dziś coraz częściej przypomina laboratorium, w którym testuje się, ile jeszcze można rozcieńczyć sens, zanim widz przestanie go w ogóle dostrzegać. I wygląda na to, że granica została właśnie przekroczona. „Potop” miał kiedyś zalewać serca, poruszać sumienia i budować wyobraźnię. Ten „Potop” co najwyżej ochlapuje widza przypadkowymi pomysłami, po czym zostawia go z poczuciem, że uczestniczył w czymś jednocześnie głośnym i pustym. To nie jest nowoczesność. To jest bezradność przebrana za odwagę. I jeśli to ma być kierunek, w którym zmierza Teatr Telewizji, to nie potrzebujemy już żadnych potopów. Wystarczy to, co mamy – powolne, ale konsekwentne zalewanie bylejakością, która udaje sztukę i jeszcze domaga się za to oklasków.

To nie pierwszy raz, kiedy Teatr Telewizji wkracza na drogę, z której w przyszłości będzie bardzo trudno zejść...

■

Powieść pokoleniowa?

Nowa książka **Wojciecha Łęckiego** „Dwoje na klifie" to na pierwszy rzut oka dzieje romansu. Może raczej – niespodziewanego jego schyłku. W sytuacji, gdy się wydaje, że rozkwita, że zapowiada okres długiej stabilizacji, może nawet sposobu na dozgonne życie. Pogłębić ma to partnerstwo ludzi zaledwie w porze wczesnego popołudnia, wypad na egzotyczny wypoczynek, na modne Kanary, w szeroki świat, ku egzotycznym krajobrazom, wyższym formom życia, międzynarodowemu środowisku. Ale, ale, są jeszcze warunki, czasy, prowincjonalne środowiska, oczekiwania zderzone z oporną materią transformacji i ludzkiej ułomności.

Niniejszą prozę Łęcki nazwał mocno sfabularyzowanym reportażem. Ale recenzent, którego nie interesują „realistyczne realia", lecz wymowa całości, może ją przedstawić na różne, podpowiedziane przez autora sposoby: przypowieści, powieści miłosnej, awanturniczej, podróżniczo-przygodowej. Bo łączy on te sposoby opowiadania współczesnego świata. Po zastanowieniu – wolę ją komentować jako powieść pokoleniową generacji mniej więcej „Nowej prywatności", a w sensie indywidualnym – okresu refleksji i zastanowienia nad własnym życiem. Autor określił ich może zbyt surowo pełzakami. Wystarczy jednak popatrzeć na zachowanie naszych ministrów i posłów na unijnych lub rosyjskich salonach. Celny tytuł nasuwa różne skojarzenia podczas lektury tej prozy, co samo w sobie jest wartością. Chociaż pisarz sam się zastrzega w przedmowie, że nie tknął polityki. Podobno wszystko jest polityką. Nawet prawda, w co trudno uwierzyć.

Poeta i redaktor, jakim jest autor, zderzył swoich bohaterów z nową obyczajowością, którą niekiedy nazywa się ponowoczesną. Jakub i Ewa to partnerzy, którzy opuścili swoich małżonków i stworzyli nowy związek, ale ciągle opatrzony wątpliwościami. Srodze się przed sobą popisują inteligencją, doświadczeniem, dowcipem..., co tylko wychodzi prozie na dobre. Ale też nie przeszkadza im to zdradzać siebie, gdy nadarza się okazja przyjemności, satysfakcji, rewanżu czy nawiązki za inne niepowodzenia. Dużą część relacji społecznych zastępują im komórki i maile. Inne odniesienia podporządkowane są celom praktycznym. Są oczytani, inteligentni, ale marnują te dyspozycje na doraźne złośliwości wobec siebie i innych, gorszych, a jednak robiących karierę. Bo lepiej potrafiących sprzedać usłużność i mniemanie o sobie niż oni wiedzę i predyspozycje. Ich środowisko jest raczej iluzoryczne: babcia Ewy, była żona Kuby, jego czteroletni synek, skorumpowani policjanci, z konieczności sąd nad nierzetelnym budowlańcem, wrogi układ z sąsiadem, próba podjęcia pracy w upartyjnionym urzędzie miejskim. Trudno coś powiedzieć o ich poglądach, czy światopoglądzie. Idealiści, którym daleko do ideału. On prawie od roku bezrobotny, ona przedstawia się jako nauczycielka polskiego w szkole średniej. Nadwrażliwcy z niezrealizowanym zacięciem literackim. Pod wpływem przegrywanych batalii sądowych jemu opadły skrzydła. Bezrobocie też się przysłużyło. Walczy na oparach ambicji. Ona odnosi iluzoryczny sukces – wygrywa konkurs wojewódzki na teatrzyk dla dzieci...

Niewątpliwie należą do polskiej klasy średniej, białych kołnierzyków. Złośliwiec powiedziałby, że nie przynoszą chwały tej warstwie, że nie najlepiej świadczą o kondycji naszej inteligencji, warstwy wykształconej, a nawet wzorcowej, że transformacja w ludziach się ślimaczy, gmatwa i nie rysuje żadnych wzorców na przyszłość. Ale też świat nie jest dla nich środowiskiem bezpiecznym. Nie znają go. Przemiany budziły nadzieję, która się rozmazała w rzeczywistości. Kuba buduje dom, ale się uwikłał w procesy z oszustami, z sąsiadami drze koty. Co krok, na drodze, w urzędach wrogi opór i mafijne powiązania.

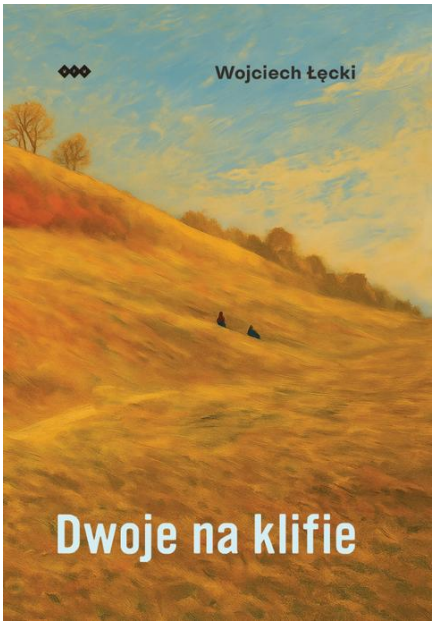

Wyprawa na egzotyczne wyspy przekształca się w parodię wypoczynku i przygody, jest raczej pułapką i systemem wyłudzania pieniędzy. Nasza klasa średnia jest nieprzygotowana do rynkowych układów. Tu cwaniactwo, szantaż, wyrafinowane złodziejstwo jest na porządku dziennym. To próba charakterów. Nie wytrzymują jej. Bo wokół wakacji dla bogatych, tak zresztą jak wokół biznesów, atrakcyjnych kobiet aż roi się od czarnych charakterów, żigolaków, a nawet wyrachowanych oszustów.

Specjalnie pomijam szczegóły intrygi, żeby nie odbierać smaków przygotowanych przez autora. Powiem tylko z całym przekonaniem, że już od pierwszych zdań miałem niezbite przekonanie, że ta proza jest idealnym materiałem na scenariusz filmowy. Jest zwartą opowieścią, nawet przypowieścią wakacyjną. Posiada wyraźne charaktery. Niemal wszystkie postacie są autentykami, ale też grają dodatkowe role: idealnych kochanków, ludzi obciążonych przeszłością. To ważne w wypadku międzynarodowego środowiska z Niemcami, Ukraińcami, polskimi emigrantami. Grają zresztą role przed drugimi i przed sobą. Jak wiadomo filmy z podróży mają swoją wypróbowaną kompozycję. A dialogi są nie tylko świetne, ale też od początku do końca gotowe. Posiadają finezję, dowcip i najważniejsze – posuwają zawsze akcję, dzianie się do przodu, tak jak w dramacie. Z pewnością Łęcki posiada duży talent dramatyczny. Gdyby radio, jak niegdyś, interesowało się słuchowiskami, mogłoby z tej prozy zrobić cykliczne słuchowisko. I pobudzić autora do pisania dalszych. Jest jeszcze cała skala scen erotycznych. Do wyboru, do koloru. Doświadczony reżyser (podobnie jak redaktor) by sobie z tym poradził. Nie orientuję się, czy w dobie postmodernizmu można sobie pozwolić na wszystko, czy na wybór. Osobiście wolę czytać fragmenty o przeżyciach partnerów niż o technikach zbliżeń. Ale są różne gusty i różne skale upowszechnienia. Jest cały rynek. No i są puryści. Oczywiście dla niektórych ta warstwa powieści jest równocześnie sygnałem o walorach rozrywkowych tej prozy.

Krytyk musi zauważyć, że autor posłużył się wieloma narratorami. Podstawowe relacje czerpiemy z punktu widzenia i przeżywania Kuby. Ale dla dopowiedzenia dziejów, wydarzeń, motywów oddaje się głos wewnętrzny to tej, to znów tamtej osobie. Tu są różne gusta. Jedni wolą opis i trochę tajemnicy. Drudzy chcieliby znać przyczyny i emocje wydarzeniom towarzyszące. Widać, że autorowi odpowiada komponowanie monologów wewnętrznych. Może chodzi mu o wyjaśnienie choć części polskiego bałaganu, który odciska swoje piętno na ludziach? Który zmusza często do emigracji?

Powieść da się potraktować jako poszukiwanie naszej, swojej, tożsamości. Ale ona rysuje się niewyraźnie. Dużo ludzie zadają sobie pytań, ale rzadko udzielają na nie odpowiedzi. Albo odpowiedzi są nieszczere, jak chociażby w tej kwestii: co jest wyższą formą współżycia – małżeństwo, czy partnerstwo. Jest oczywistością, że odpowiedzi kobiety i mężczyzny są bardzo różne. Że egoizmy z tym związane są rozmaite. Aż życie przecina rozważania jednym cięciem. Bo daliśmy za wygraną, jak napisał Krystian Lupa. Mogę śmiało podkreślić, że ta proza to artystycznie spełniony autentyk, ubogacony niedopowiedzeniami i – co wcale się nie wyklucza – precyzją języka.

Jan Zdzisław Brudnicki

Świat z ubocza

Finezyjność/niepodrabialność kluczy do poezji z tomu *Trochę inaczej* **Romana Rzucidły**, zawarta jest w dwóch mottach poprzedzających treść liryczną. Cytuję:

Jak pasterz, który widzi lwa nadchodzącego
by zniszczyć jego trzodę, stosuje podstęp:
Bierze baranka i używa go jako pułapki aby
schwytać lwa
I w ten sposób ratuje swą trzodę
A potem leczy baranka, którego zranił lew.

„Manichejska Księga Psalmów"

Zdaje się, że nasz wewnętrzny chaos i zamęt stanowią nasze największe bogactwo.

Olga Tokarczuk

Muszę z marszu nadmienić, że to dopiero trzecia książka poety debiutującego – jako siedemnastolatek w roku 1987 roku wierszem „Ślepy fanfaron" w krakowskim „Życiu Literackim" wydawanym w latach 1951-1990. Tygodnik ten jako pierwszy w PRL-u drukował Czesława Miłosza i Witolda Gombrowicza. Debiut u Władysława Machejka (Tadeusz Śliwiak szef działu poezji) zaświadczał o talencie „młokosa". A jego duży nakład i ogólnopolski zasięg gruntował rozpoznawalność nazwiska.

Pierwszy tom *Nie było faktów* ogłosił w 1992 roku. Na kolejny *Nieprawdziwy świat, prawdziwe sny* (2014), przyszło czekać 22 lata. To w literaturze już kolejne pokolenia piszących z punktu zastanego / widzianego świata, z którego poeta odszedł w „ciemność życia". Czasem – sporadycznie – „w jasnych dniach" prasa literacka drukowała wiersze Romana Rzucidły. Pojawiał się we mgle jak chochoł z *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego by zamilknąć na lata. *Trochę inaczej* (2025) przekazuje czytelnikom wydawnictwo Mamiko z Nowej Rudy, które wyczuło „gęstość" tej liryki.

Stąd na czwartej stronie okładki redaktorka tomu – Weronika Stępkowska pisze: „jazda – (niewłaściwe słowo, to Stasiewicza subiektywne odczucie, biorąc pod uwagę duchowość Romana, powinno być: wędrówka, peregrynacja) – po rozmaitych peryferiach: światopoglądowych, egzystencjalnych czy związanych z unikalną wrażliwością społeczną autora. Oryginalne, oparte na gnostycko-manichejskich wątkach przekonania życiowe (...) znajdują wyraz w liryce (...), balansującej w cudownie niejednoznaczny, labiryntowy sposób między pesymizmem *vanitas* a niezwykle ważnym przesłaniem o najwyższej wartości ludzkiej ułomności (...). Kluczowa dla twórczości nyskiego poety postać outsidera, czerpiąc inspirację z manichejskiego wywyższenia sfery duchowej ponad materialną, sytuuje się wobec dokuczliwego zgiełku świata na pozycjach mocno kontestatorskich, niepozbawionych, wszakże refleksyjnej empatii". Tyle pani redaktor. Szaremu (normalnemu) czytelnikowi przybliżyć muszę terminy: Gnostycyzm, religijno-filozoficzny kierunek wczesnochrześcijański (II-IV w.) przeciwstawny oficjalnej doktrynie kościoła; stanowił mieszaninę elementów chrześcijańskich, greckich i orientalnych; głosił zasadniczy dualizm dobra i zła, ducha i materii. Manicheizm, religia w Persji; twórca jej Manes (Mani) (215-275) głosił współistnienie pierwiastków dobra (duch, światło) i zła (materia, ciemność); zanikający w IX w. Odżył w XII w. w sekcie albigensów. – Specjalnie sięgnąłem do wydanej w Warszawie w 1962! r. (Encyklopedii Popularnej PWN), by uniknąć współczesnych „upiększeń".

Gryzie / drażni mnie określenie „outsider", angielskie chwasty w polskim ogrodzie". Dla Romana Rzucidły, którego znam jeszcze z XX wieku, kiedy po spotkaniach Nyskiej Grupy Literackiej zachodziliśmy do Tiffany na mały kufel z pianą. A i pewnie po promocji *Trochę inaczej* brzęknie szkło, odpowiednim słowem będzie – na uboczu... z całą jego pojemnością znaczeniową. Tak trafnie zarysowaną w wierszu „Pożegnanie":

Nasze miasta też kiedyś zasypie piasek. To będzie
bardzo ciche usypianie ruchu na ulicach,
przewlekła degradacja
urzędów i sklepów. Naprawdę nic nagłego. Tylko
ktoś wyjmie
specjalne obcęgi do wyrywania języków, inny ktoś

zamieszka pod fontanną. Nie będą już tak lśniły
karoserie,
do cna zedrą się zapachy, wypolerowane pomniki
oślepną
od kurzu. Ten koniec będzie bardzo powolny. Nie
nastanie,
lecz przypełznie. Niektórzy wręcz go nie zauważą.
Jeśli w ogóle
da się po czymś go poznać, to po wykwitach gnoju
w miejscach, gdzie kiedyś sprzedawano żywność.

Ale może i na to będzie sposób. Mieszkańcy
blokowisk
są pomysłowi, więc wynajdą skuteczną metodę
surwiwalu.
Po prostu trzeba będzie się przenieść, przekroczyć
ostatnią bruzdę i wyświetlić swoje żale prosto
w noc.
Taka modlitwa nie może pozostać niewysłuchana.

Do ochrzczenia tomu autor wykorzystał tytuł wiersza „Trochę inaczej" pomieszczonego na stronie 25. Przywołamy go w dalszej części szkicu. Teraz naświetlimy co znaczą owe dwa słowa. Roman tłumaczy to tak: „trochę – bo zawsze jesteśmy tylko trochę czymś, choć wydajemy się sobie całością, ta nieustannie nam się wymyka. I tak naprawdę wszyscy przypominamy ślepców macających słonia z głośnej buddyjskiej przypowieści: dana jest nam tylko część czegoś większego czego nie widzimy. Naszemu oglądowi poddaje się tylko to co jest zawężone w osobistej perspektywie. I dlatego bardzo często bierzemy część za całość. Ale od tego nie ma ucieczki, dlatego by dojść do postrzegania choćby zarysów pełni, najpierw trzeba być tylko „trochę" na różnych drogach i przestrzeniach.

Inaczej – to inność, odmienność, odtrącenie, brak zrozumienia, osamotnienie. (...). Peel – (punkt, dowód, wyjaśnienie, związek) – tych wierszy jest najczęściej poza, jest tam, gdzie zostaje zepchnięty, czyli na marginesie konsumpcyjnej cywilizacji. Tymczasem ten margines okazuje się ocaleniem, filarem, dzięki któremu możliwe jest przetrwanie rzeczywistości dostępnej dla wszystkich. O tej inności mówią wprost trzy osiowe wiersze: pierwszy „Trochę inna", centralny „Trochę inaczej", ostatni „Trochę inny". Przestrzeń między nimi jest nicią, na którą nawlekam pozostałe utwory". Tu czytelnik sam musi dokonać konfrontacji. Wyłuskać prawdę zamyślenia i czasowe przebywanie „ja" lirycznego w „ciemności życia". Gdzie byt i niebyt mają swój bardzo nierówny czas. Cytuję tytułowy wiersz:

Trochę w środku, bardziej jednak na zewnątrz.
Tak żyje się
w tym wielobarwnym ulu. Przechadzka galerią
handlową
prowadzi jednak do niepodległych zaułków.
To są strefy odseparowane od głównych nurtów
przemysłu,
tu tylko czasem pustelnik wyciąga długą szpilkę
jako wniosek po całonocnej medytacji.

Trochę więcej, a jednak mniej – łatwo o pomyłkę.
Rachuba
jest rozstrojona, nie wiadomo, od której strony
należy dobrać się do obiadu. Wokół stołu
biesiadnicy w piżamach mają właśnie ten dylemat.
Ale obsługa jest tu fatalna. Ktoś powinien coś
podpowiedzieć,
wskazać odpowiednie sztućce, włożyć kubek
w dłoń.
Bez tego brak spoiwa. Wystarczyłoby tylko trochę.
Trochę grzeczności, trochę mistycyzmu, a już
wszystko ułożyłoby się inaczej.

Przywołam jakże sugestywny i realistyczny obraz naszkicowany w drugiej zwrotce. Opisujący „ludzi stamtąd" – nie mylić z opowiadaniem Marii Dąbrowskie – „Wokół stołu / biesiadnicy w piżamach mają właśnie ten sam dylemat. / Ale obsługa jest tu fatalna. Ktoś powinien coś podpowiedzieć, / wskazać odpowiednie sztućce, włożyć kubek w dłoń. / Bez tego brak spoiwa". Często poeci lubią zakładać kostium sobowtóra. – Pisałem o tym wielokrotnie. Nawet żona patrząca na moje teksty redakcyjnym okiem twierdzi, że się powtarzam. Ale kto by żony słuchał, zwłaszcza jak się jest młodym. Chociaż ostatnio... (po trzydziestu latach) widzę u siebie poprawę. – Tu w tej poezji są dwie postacie: z rzeczywistego świata i spoza. Do opisania tej drugiej posłużę się Procesem Franza Kafki cytując za „Słownikiem postaci literackich" (Świat Książki, Warszawa 2004) Andrzeja Z. Makowieckiego: „Coraz jednak wyraźniej w umyśle nieszczęsnego urzędnika pojawia się wizja ogarniającego wszystkich ludzi procesu sądowego, który każdemu człowiekowi z osobna i wszystkim naraz wytacza anonimowa, wszechobecna i tajemnicza siła, wcielenie władzy i zniewolenia. Jego własna sytuacja staje się figurą konstrukcji świata i ludzkiej egzystencji.

W poczuciu całkowitej bezsilności, po roku bezskutecznych usiłowań zrozumienia toczących się wokół niego zdarzeń Józef K. rezygnuje z walki i poddaje się przeznaczeniu: kiedy przychodzą po niego dwaj panowie w

czarnych żakietach i wyprowadzają do opustoszałego kamieniołomu nie broni się także wtedy, gdy wbijają mu nóż w serce". Jednak u Romana Rzucidły ta postać posiada także cechy Yossariana (główna postać powieści Josepha Hellera *Paragraf 22* i jej kontynuacji. I tu posłużę się Makowieckim: „Yossarian jest człowiekiem wrażliwym i myślącym, o nastawieniu pacyfistycznym, dotkliwie odczuwa absurd i zło wojny, razi go głupota i brutalność przełożonych i trywialność życia koszarowego. Jego obronną barierą przed załamaniem psychicznym jest poczucie humoru i staranne aranżowanie groteskowych sytuacji między ludźmi, teatralizacje mające na celu wprowadzanie w błąd lub zakpienie z innych, a przede wszystkim uniknięcie bezsensownej śmierci, jaka staje się często udziałem jego kolegów („na całym świecie chłopcy padali po obu stronach linii frontu za coś, co, jak mi powiedziano, jest ich ojczyzna, i nikt jakoś nie miał nic przeciwko temu, nawet oni sami"). Towarzysze broni traktują go po trosze jak wariata, nie dostrzegając świadomej metody i postawy w tym szaleństwie. (...) – otoczony leserami, symulantami, ludźmi o niepełnej poczytalności psychicznej, ewidentnymi kretynami, maniakami i konfabulatorami – oficer, uchodzący za wariata, wydaje się być jedynym normalnym człowiekiem w jednostce. Dlatego uparcie realizuje zachowania, będące rozumną konsekwencją sformułowania w słynnym „paragrafie 22", który powiada, że troska o własne życie w obliczu realnego i bezpośredniego zagrożenia jest dowodem zdrowia psychicznego. – Dopowiem skrótowo ciąg dalszy powieści mający tak silny związek z głębią i posadowieniem tematycznym poezji Romana Rzucidły. – Pilot według przepisów po 25 lotach bojowych nabywa prawo do zwolnienia ze służby i powrotu do kraju. Dowództwo sukcesywnie podnosi liczbę. Sfrustrowany Yossarian w stroju Adama (jak wielkopolski poeta w korytarzach festiwalowego hotelu budząc aplauz nie tylko wiekowych poetek), pojawia się na dekoracji Lotniczym Krzyżem Zasługi. „Zyskuje dalszą niechęć przełożonych. Zarazem stale w czasie lotów bombowych ociera się o śmierć. Ratunkiem przed dalszymi lotami jest wiedza medyczna i uporczywa symulacja różnych chorób. Diagnozy kompromitują służbę medyczną. Po kolejnej podwyżce obowiązkowych lotów, załamaniu psychicznym kolegów, odmawia startów. Oskarżony o niesubordynację, śmierć nawigatora z widmem sądu wojennego – świadomie dezerteruje.

Sięgnę do kilku przykładów z poezji Romana Rzucidły obrazujących/ukazujących psychiczne osaczenie człowieka/jednostki w trybach machiny społecznej, jak i bezowocną walkę owego homo sapiens z „buldożerem błędnego koła" potrafiącym tylko łamać słabych i wrażliwych.

Przelot bocianów nad Szwecją, huragan w Ohio,
a wszędzie tak samo daleko od domu. Już tęskni się
za tamtym życiem, było takie uporządkowane,
na każdy problem odpowiednia tabletka.

Lecz kiedy się widziało, jak czterdziestotonowy
TIR
uderza w bok pełnego autobusu, kończą się
wszelkie zmyślenia, zaczyna popłoch pod czaszką.
Zwiędłej maski nie przerobisz na gumę do żucia;
blask, który zastyga w migotaniu karetek,
szloch zwielokrotniony w gardłach.

Czy przyjdziesz na pogrzeb? I przynieś trochę
światła,
wydrap je maskotkom z dna plastikowych oczu,
potem rozsnuj iskry na wietrze. On zawsze unosi
za mało.
Wtedy jednego będziesz pewien: jesteś
wygnańcem miasta,
mury zostały za tobą. Przed tobą wydeptywanie
pustyń,
dymy o świcie, dymy o zmierzchu, czekanie aż noc
zapadnie się w swoich własnych ciemnościach.

Metafora kolejnego kłuje po plecach: „Gdy będzie / po wszystkim, znów otworzę okno, będę nasłuchiwał, / skąd zbiegają się wszystkie kroki". By w końcówce tomu wyznać brutalną prawdę: „Przez ułamek sekundy wiedziałem, kim naprawdę jestem, znałem / dojścia do wszystkich / coś znaczących snów, lecz te ulotniły się z dymkiem wypalonego / skręta i zamieszkują teraz / w zupełnie innym kosmosie niż mój". Pamiętajmy „dymek wypalonego skręta to „inna droga". Na temat eksperymentów z substancjami psychoaktywnymi i ich działaniem – wizje i wrażenia z zastosowaniem w sztuce – mógłby nam powiedzieć wiele Witkacy. „Miasto ukryte / we wnętrzu dłoni" – dopowiada jeszcze nyski poeta. A w oddali jakby echem widząca więcej Anita Pawlak: „szukam Ciebie / w melancholii duszy / pustych oczach / drugiego człowieka / (...) / nie wrócić / przełamać czasoprzestrzeń / rozpłynąć się / w nicości".[1] (...) w osamotnione życiem płuca / wchłaniaj Matkę Śmierć // urodzi cię znowu".[2]

Przygotowując się do szkicu zapadło mi w pamięć zdanie nakreślone przez Urszulę M. Benkę we wstępie do poprzedniego tomu. Wrocławska eseistka zauważa: „opisują świat widziany od dołu, jakby z podziemia wykluczonych". Ta perspektywa osiąga apogeum dopiero w książce *Trochę inaczej*. Słowo-klucz do tego tomu to „outsider" – zgrzytnąłem zębami – choć nie pojawia się w żadnym z wierszy to powraca w wielu odsłonach, rozmaitych kostiumach. Outsiderem (ubocznikiem) jest pacjent szpitala psychiatrycznego, bibliofil na czytelniczym portalu, wyobcowany mieszkaniec współczesnego miasta, pustelnik. Wszystko to dzieje się w rozpędzonym świecie, jawiącym się setkami migawek i obrazów, coraz mniej realnym i zatracającym ustalony porządek.

Definicję outsidera zawarł poeta w pierwszym wersie trzeciej zwrotki wiersza „Bezinteresowność": „Bo ktoś musi wyrzec się tego, czego chcą wszyscy". Przytoczę jeszcze dla lepszego zrozumienia trzy kolejne wersy: „Władza, sukces, bogactwo. Bogactwo-robactwo, / i tak zgniło w nim zbyt wielu pewnych siebie. / Pewność siebie, najgorsze ze złudzeń". Ubocznik dla poety to ktoś kto rezygnuje i traci. Jego pojmowanie ubocznika w dużej mierze zbiega się z „obywatelem" (Ellinas) jakiego przedstawił w swej książce Colin Wilson (1931-2013), brytyjski pisarz i filozof. Mały cytat: „Nie, dla outsidera życie nie jest łatwą sprawą; w najlepszym wypadku jest ono ciężką wędrówką, w najgorszym (by użyć określenia Eliota) – nieznośną ognistą koszulą".

Wyrzeczenie się dóbr wszelakich nie wzbrania poszukiwań poety odpowiedzi na ważne pytania, które go nurtują, szczególnie o sens bycia lirykiem w chaotycznym świecie „pędu i rozdeptywania". Portret Rzucidły zawarty jest w przesłaniu, by w „jasności życia choć rzadko służyć literaturze i poprzez słowo poetyckie rozumieć tożsamość ubocznikow i zagubionych. Stąd pytania filozoficzne dotyczące istoty trwania z poszukiwaniem zagubionej/utraconej pamięci. A złożone – czasem powtarzalne strofy – stają się zwrotnym wymiarem świadomości nieprzypadkowego czytelnika? W skąpych czytelniczo dla tomów wierszy czasach.

Charyzmat poezji Romana Rzucidły wzbiera falą przenośni przemyślanej/głębokiej, uderzając w wyobraźnię treścią spójną całego tomu. Jego istotą poznania jest świat wartości manichejskich jako grunt poetyckiego zamyślenia i człowieczego postępowania. Z doświadczeniem przez pryzmat wewnętrzny. Przesłaniem bycia twórcą. I ideą patrzenia na poezję z punktu subiektywnego widzenia. Podparty tajemnym szeptem filozofów. Czasem snem, zasłyszaną historią, widzeniem ponad uderzeniem „powiewu". Czerpiący ze zdobyczy współczesności i potrafiący przyswajać i wchłaniać „wyroby" pędzącego czasu w zasób wyobraźni literackiej i transponować je na słowo poezji...

Jerzy Stasiewicz

[1] „Życie".
[2] „ooo (kończy się atrament w wiecznym piórze", Anita Pawlak, wiersze z antologii *Poezjo, pod twoją obronę*.

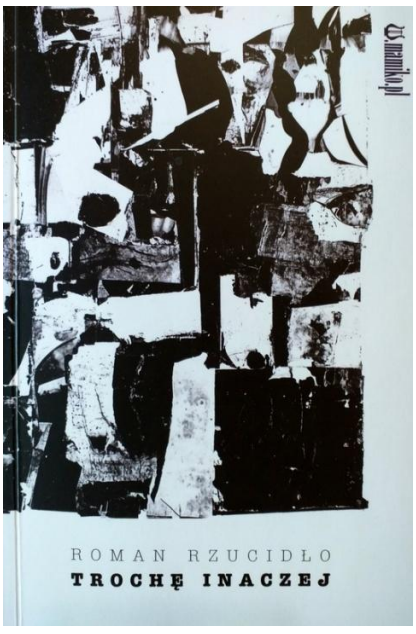

Roman Rzucidło, *Trochę inaczej*. Wydawnictwo MaMiKo, Nowa Ruda 2025, s. 50.

Brzemienne obłoki nad nami

„Brzemienne obłoki" – to tytuł tomiku **Ireny Tetlak**, obłok zawsze kojarzył mi się z czymś lekkim, nieuchwytnym, u poetki zaś jest on jednak „brzemienny" ciężki może nawet przeciążony, wypełniony czymś mrocznym. Nic dobrego taki obłok chyba nie niesie. W zbiorze tym dominują właśnie ciemniejsze barwy, choć w niektórych wierszach pojawia się wiosenne lub jesienne światło, wspomnienie dzieciństwa. Jest on o tym, co spotyka współczesny świat, o naszym lęku przed światem pozbawionym wartości moralnych, ludzkiego dobra, współczucia i empatii. Toczące się na naszych oczach wojny, fale uchodźców, ofiary, kaci – którzy nie ponoszą za swoje czyny żadnej kary, a nawet dobrze sobie żyją, sztuczna inteligencja, która powoli wchodzi w każdy aspekt naszego życia i nie wiadomo co z tego na końcu wyniknie – przerażają i zmuszają do przemyśleń. Poetka mówi też o sobie, o swoich korzeniach, przeszłości, jest z tej polskiej ziemi, wszystko, co ważne, a działo się tutaj, także i na nią miało wpływ. Na jej dzieciństwo i młodość. Nie może się od tego odciąć albo odgrodzić od polskiej historii grubą kreską. Obserwowała pochody pierwszomajowe, walkę o wolność, narodziny kapitalizmu, wybór Papieża, wyjazdy naszych rodaków za granicę do pracy. Przede wszystkim chce być szczęśliwa, pomimo wszelkich burz dziejowych, schować się pod dachem swojego domu, ze swoimi bliskimi, którzy odeszli na drugą stronę. Cały czas powstaje na naszych oczach nowy porządek świata. Jakie wartości będą w nim ważne? Czy jedynie siła, agresja, zastraszanie innych, chęć zagarnięcia jak największego terytorium będzie świadczyć o potędze narodu czy grupy ludzi?

A jaka jest w tym obecnym i przyszłym świecie rola poety? Bo także i ten temat podejmuje autorka, czy wiersz może cokolwiek zmienić, czy poeci, mali, nieznani, uczestniczą tylko w nic nieznaczących festiwalach literackich, a ich poezja nie jest właściwie nikomu potrzebna. Poeta stara się tworzyć rzeczywistość, ale często jest wobec niej bezbronny i bezradny, może być tylko obserwatorem i może dawać świadectwo o okrucieństwie, podwójnej moralności, upadku człowieczeństwa w swoich utworach: „wiersz ustawia pytania w szeregi / szuka autentycznych odpowiedzi". Poeta może tylko komentować rzeczywistość, chce czasem ukazywać piękno świata a przychodzi mu zmagać się z okrucieństwem, ludobójstwem i wojną: „a poecie znów ciężko przebić/metaforę agresji". Wie, że człowiek już dawno przestał być rozumny, że często na jego działanie mają wpływ najniższe pobudki, chęć władzy, chęć zysku, chęć zemsty, nienawiść.

Czym, kim jesteśmy wobec walca historii? Może tylko drobnymi pionkami, których usilne starania jednak nic nie przyniosą: „uchodzi też z ciebie zapał do życia / rwiesz się na cząstki / każda chce tworzyć nową rzeczywistość". A ta rzeczywistość ciągle jest nowa i ciągle musimy się do niej przystosowywać. Ludzie budują i niszczą: „choć jest łaskawy i miłosierny / nie mieszajmy Boga już nigdy / w te ludzkie dylematy i wybory". Jedyną odpowiedzią na zło jest miłość, troska o drugą osobę, czułość.

Ucieka nam stały grunt spod stóp, wydawało się, że świat daje nam jakieś poczucie bezpieczeństwa, jednak ostatnio się to zmieniło, teraz niczego i nikogo nie możemy być już pewni. Wolność i suwerenności stają się kruche. „ciemność oślepia nawet jasnowidzów" – zatem losy świata są zakryte nawet przed tymi, którzy powinni sięgnąć swoim wzrokiem w przyszłość. Zostaje zatem lęk o naszych bliskich i o nas samych. Czy w tym strzaskanym świecie będzie jeszcze miejsce na dobroć i czułość?

Poetka przyznaje się nam ze szczerością: „dzisiaj pogubiłam się na chwilę / w tym dziwnym świecie", w którym chyba już nic nie jest na swoim miejscu. Agresor jest wywyższony a pokrzywdzeni nie zaznają sprawiedliwości. Czy zupełnie zostaną wymazane wartości w które wierzymy? Dobro, sprawiedliwość są przestarzałymi słowami i tylko słowami. Teraz ważna jest ślepa siła, która na nikogo i na nic nie zważa, burzy to, co przez lata z trudem budowaliśmy, naszą europejską cywilizację, jej podstawy i wartości.

Wojna, a nawet wojny, które obserwujemy na ekranach telewizorów, są tuż za rogiem, mogą spowodować, że nasze życie rozpadnie się na kawałki, jak życie tych, którzy w nich uczestniczą: „agresor nabiera wiatru w żagle / płynie dalej" i kolejno poetka podkreśla: „pociski mają cel nie mają serca".

Czy pisarz / poeta czasem bywa naiwny? Myśli, że swoimi słowami – a wierzy w ich siłę sprawcza i potęgę, może uchronić innych „...przed stekiem klątw", przed tym co złe. Poeta jest po stronie światła, szuka nadziei, pomimo zła stara się walczyć każdego dnia, nawet słowem. Wie, że zło się odradza i w każdej chwili może wrócić ze zdwojona siłą, nie ma bowiem dla niego rzeczy niemożliwych. I musimy żyć tu i teraz: „w tym dziwnym świecie / na którym najlepsza staje się obojętność". Dość pesymistyczne stwierdzenie, ale jakie prawdziwe.

Pojawia się też w tym tomiku śmierć, niepostrzeżenie wchodzi między strofy. A przecież ciągle jest obecna, czujemy jej chłodny oddech na policzkach. Nawet na wakacjach w Palermo można ją odnaleźć, mieszka bowiem ona w katakumbach, ma puste oczodoły: „oczy turystów nie spotykają / światła ich dusz". Turyści chodzą między wyschniętymi ciałami, które przerażają i zaciekawiają, i już wiedzą, że od niej nie ma ucieczki, że nicość jest na wyciągniecie ręki, trzeba zatem wrócić na powierzchnię, do światła.

Szukamy swojej drogi w rzeczywistości, która się zmienia, czy tego chcemy, czy nie, nie mamy wpływu na decyzję polityków, niesprawiedliwość, dziejące się zło, szukamy tylko czegoś stałego, o co czasem można się oprzeć, szukamy zakorzenienia i miłości. Miejsca gdzie możemy spokojnie położyć głowę na poduszce. Może to miejsce istnieje w przeszłości lub w przyszłości, może jednak jeszcze coś da się z człowieczeństwa ocalić. To, co się teraz dzieje na świecie będzie na pewno dla nas brzemienne w skutki, to może wytarty slogan, ale ukazany w wierszach na pewno stanie się świadectwem obecnych czasów. Teraz „karabiny do rąk wciska się filozofom", którzy może mieli inne plany na życie, zagłębiali się w rozważaniach na temat istnienia, może szukali prawdy w książkach, byli bardziej teoretykami niż praktykami, a musieli odnaleźć ją na polu walki.

Magdalena Cybulska

Irena Tetlak, *Brzemienne obłoki*. Redakcja i słowo wstępne: Andrzej Dębkowski. Zdjęcie autora na IV stronie okładki: Magdalena Tulejska. Projekt okładki i zdjęcie na I stronie okładki: Kamila Andrzejewska. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski, Zelów 2026, s. 84.

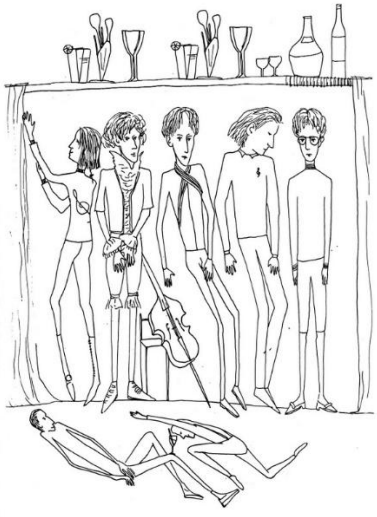

Rys. Barbara Medajska

Filozofia codzienności

prof. Marii Szyszkowskiej (236)

Fot. Andrzej Dębkowski

Płeć a sens życia

O wartości człowieka nie decyduje ani wykształcenie, ani stan materialny, ani narodowość, ani wyznanie, ani kultura w której się urodził, ani wiek. Nie zachodzi też związek między wartością człowieka a płcią. Nie powinna być ona w przypadku kobiet ani atutem, ani też usprawiedliwieniem nieudanych dziejów życia, mimo że kobiety napotykają wzmożone trudności w porównaniu z trudnościami napotykanymi przez mężczyzn.

Decyduje o wartości człowieka – a nim w pełnym tego słowa znaczeniu powinien stawać się każdy niezależnie od płci – poziom rozwoju duchowego. By uniknąć nieporozumień wyjaśniam, że rozwój duchowy to pojęcie szersze od rozwoju intelektualnego. Obejmuje poza rozwojem sfery intelektualnej, poziom rozwoju uczuć, wrażliwość oraz rozwój wyobraźni. Właśnie o wartości kobiet i mężczyzn decyduje, nawiązując do rozwoju duchowego, przede wszystkim poziom rozwoju uczuć, bowiem okazuje się, że są one wszechobecne w naszej psychice. Nie ma stanów czysto intelektualnych, ani też czystego myślenia, co przyjmowano jeszcze do połowy XX wieku.

Z reguły bardziej rozwinięte uczuciowo są kobiety o czym zapewne decydują metody wychowawcze, odmienne w stosunku do kobiet i mężczyzn. Z tego też powodu liczniejsza jest zapewne grupa psychopatów płci męskiej niż grupa psychopatów wśród kobiet. Zważywszy niewłaściwe często pojmowanie psychopatii wyjaśniam, że cechą charakterystyczną człowieka odznaczającego się nią jest pozostawanie rozumu na usługach popędów. Najsilniejsze to chęć władzy i chęć dóbr materialnych. Przy czym psychopata to człowiek często wysoko wykształcony, wybitnie inteligentny ale odznaczający się niska wrażliwością, małym rozwojem wyobraźni i przede wszystkim niskim poziomem rozwoju uczuć.

Profesor medycyny i zarazem filozof oraz inspirator w Polsce nauki jaką jest higiena psychiczna, Kazimierz Dąbrowski, twierdzi w swoich dziełach, że największą grupę psychopatów można odnaleźć w każdym państwie wśród polityków. Pozbawieni skrupułów z powodu niedorozwoju uczuć i wrażliwości, stosują wszelkie metody, by zdobyć władzę. I tu dochodzimy do roli kobiet w sferze polityki. Od wieków polityka nieporównanie mniej interesuje kobiety niż mężczyzn. Wyrazem gwałtownych przemian jest wzmożony udział kobiet w życiu politycznym po II wojnie światowej. Wtedy to ostatecznie kobiety krajów europejskich zdobyły prawa wyborcze, czego domagały się ruchy emancypacyjne. Nowym przejawem swoistego zniewalania kobiet do udziału w polityce stał się w ostatnich dziesiątkach lat tzw. parytet. Dąży się do tego, by na listach wyborczych były odpowiednie proporcje liczbowe dwóch płci, nie zważając na to, że dla niewielkiego grona kobiet, polityka stanowi pasję życiową.

Biologiczne różnice między dwiema płciami determinują odmienny sposób istnienia. Nawet jeśli funkcjonowałyby takie same wzory i metody wychowawcze dla chłopców i dziewcząt, nie przekreśliłyby odmiennego przeżywania świata przez kobiety i mężczyzn, Nie przekreśliłyby też odmiennych zainteresowań.

Twierdzę, że podobieństwo zainteresowań kobiet i mężczyzn zaczyna się w przypadku części kobiet, gdy rozpada się im życie rodzinne, a przede wszystkim dorosłe dzieci opuszczają dom. Wtedy kobiety przełamują dotychczasowe nadmierne poświęcanie się mężowi, a potem dzieciom, odnajdując pasję życiową w twórczości lub jakichś działaniach. Moje stwierdzenie jest udokumentowane obserwacją i doświadczeniem, które zdobyłam pracując w Laboratorium Higieny Psychicznej, a potem w Ośrodku Higieny Psychicznej dla Ludzi Zdrowych w Warszawie, kierowanym przez prof. Kazimierza Dąbrowskiej, a utworzonymi z inicjatywy Jerzego Grotowski go, twórcy Teatru Laboratorium we Wrocławiu.

Biologiczna funkcja rodzenia i związane z tym uwarunkowania hormonalne przesądzają krąg zainteresowań kobiet. W naturalny sposób uwago kobiecego świata bardziej koncentruje się na życiu niż na twórczości. Rzadziej zaznacza się poszukiwanie sensu istnienia i odniesienia do świt ideałów. Nie znaczy to, że kobiety nie są zdolne do twórczości. Ale uwarunkowania biologiczne i wzory kulturowe determinują życie wielu kobiet. Warto tu zaznaczyć, że nie straciły w pełni swojego znaczenia poglądy w myśl których kobity tworzą dzieła artystyczne, literackie, naukowe czy nowe rozwiązania techniczne z tego powodu, by nie być gorszymi od mężczyzn – a nie dla go, że jest to ich rzeczywista pasja. Wtedy zresztą mężczyzna odnajduje w swoim domu, w wy ku procesów emancypacyjnych, żonę – rywali konkurenta. Jest to zagrożenie dla psychiki mężczyzn, którzy w XXI wieku zostali strąceni z piedestału w rezultacie ruchów emancypacji kobiet. Stracili obszary, które niegdyś były w ich wyłącznym władaniu. Wyłączność mężczyzn utrzymała się w rozmaitych wyznaniach chrześcijańskich. Funkcje kapłańskie są – z minimalnymi odstępstwami – niedostępne dla kobiet. Drobny wyłom zaznacza się w niektórych kościołach protestanckich i w Kościele Mariawitów.

Pomimo obecności kobiet we wszystkich dziedzinach życia publicznego, funkcjonuje nadal pogląd zniewalający kobiety, ale zgodny z zainteresowaniami wielu z nas. Mianowicie, nie przeminęło przekonanie, że dom rodzinny, wychowywanie dzieci i stwarzanie mężczyznom warunków, by mogli oddawać się swoim pasjom, to powołanie kobiety. Aczkolwiek funkcja rodzenia skierowuje uwagę kobiet na potomstwo i odwraca uwagę od spraw publicznych, to jednak nieprzeciętne kobiety zaznaczają wyraziście swoją obecność w działaniach na rzecz innych, nieznanych sobie ludzi oraz tworzą teorie i dokonują odkryć naukowych w rozmaitych dziedzinach

Stan świadomości a nie zniewolenie biologicznymi uwarunkowaniami powinno wyznaczać sposób istnienia człowieka. Zrównanie ustawowe kobiet i mężczyzn nie zniwelowało różnicy decydującej o odmiennym reagowaniu na świat przez przedstawicieli dwóch płci. Alberto Moravia zwrócił uwagę na sprawy płci jako na jeden z najbardziej pierwotnych i niezmiennych przejawów kontaktu z rzeczywistością. Na marginesie dodam, że w ocenie Kazimierza Dąbrowskie pisarze dokonują bardziej wnikliwych analiz kobiecego świata wewnętrznego niż psychologom.

Wielu filozofów podkreśla, że biologie; funkcja rodzenia osłabia potrzebę dociekań i problemami filozoficznymi, łącznie z zagadnieniem sensu życia. Funkcja rodzenia i następ obowiązek wychowywania uwarunkowują punkt widzenia. Sprawy konkretne, namacalne, wymierne składają się na zwykły dzień, w którym w świecie kobiet dominuje troska o potomstwo. Simone de Beauvoir w książce „W sile wieku wyznaje: „Dziś wiem, że – by określić siebie – muszę wpierw powiedzieć: jestem kobietą, ale mi kobiecość nie stanowiła dla mnie ani utrudnienia, ani alibi. Jest ona jedną z danych moich dzieje nie jest wytłumaczeniem". Innymi słowy, pisarka ta i zarazem inspiratorka ruchów emancypacyjnych, wskazuje na niezbędność kształtowa siebie, która wymusza często przezwycięża: tkwiących w nas popędów.

W naszym stuleciu oddziela się płeć biologiczną od płci kulturowej. Różnicę tę odczuwają jednostki tworzące mniejszości w poszczególnych społeczeństwach. Dramatyczne jest przeżywanie rozdźwięku miedzy własną płcią biologiczną a poczuciem psychicznym odmiennej płci.

Słynnym przykładem niech będzie życie wielkiej poetki Marii Komornickiej, która w pewnym momencie zaczęła podpisywać swoje utwory Piotr Włast w poczuciu odmienności własnej płci biologicznej i psychicznej. Zamknięto ją w zakładzie psychiatrycznym.

cdn.

Maria Szyszkowska

Moja walka z rakiem

(81)

16 lipca 2020

Od rana piękna pogoda, ciepło, powyżej 20 stopni. Czasami tylko w ciągu dnia się zachmurzy czy zagrzmi, ale jest przyjemnie, nie ma upału, który jest także bardzo męczący. Noc przespałem dobrze. Noga prawa po jeździe do Tarnowa i z powrotem mi wydobrzała, i przestała boleć. Pojechaliśmy z Halinką do marketów, coś tam jeszcze pozałatwiałem, a po południu poszedłem do dentystki. Niestety, nie mam dobrych od niej wieści. Prawdopodobnie trzeba będzie mostek w górnej szczęce po lewej stronie usunąć i założyć nowy. Kosztować to będzie ok. 1500 zł. Na razie jednak ząb plombowany mnie nie boli, więc nie dzwonię do pani doktor. Może znów pozostanie tak, jak było. Chciałbym. Choć mam w razie czego skierowanie na Staszica do zrobienia zdjęcia rentgenem. I wtedy się wszystko zacznie. Muszę być na taką ewentualność przygotowany.

W czasie obiadu, przed wizytą u dentystki, znów oglądałem filmy z cyklu „Cudowny świat przyrody": jeden o owadzim drapieżniku, o trzyszczu japońskim który głównie żywi się mrówkami, ale potrafi zaatakować także większego od niego pasikonika czy nawet ważkę; drugi – o wilkach arabskich żyjących na pustyni Negew w Izraelu. Są mniejsze prawie o połowę od wilka szarego, z którym są spokrewnione, ale dzięki temu mogą przeżyć w bardzo trudnym dla nich środowisku. Populacja ich liczy około 700 sztuk i nadal się rozwija, bo potrafią obecnie dokarmiać się nawet owocami na plantacjach, kiściami winogron czy spadającymi z drzew daktylami. Tę dietę uzupełniają potem zdobytą gdzieś padliną, o którą walczą z pustynnymi hienami prążkowanymi.

Mimo że niebo było czasami zachmurzone, to jednak nie padało. Inaczej niż w Tarnowie, jak dzwoniła Patrycja, która wczoraj, już tradycyjnie w okresie wakacji, była z rodziną w Krakowie.

17 lipca 2020

Mimo lekkiego ochłodzenia, w nocy nawet do 13 stopni, i zachmurzenia, nie padało. Pranie Halinki słabo schnie, bo temperatura zaledwie 22 stopnie C. W obawie przed deszczem ściągnęła z balkonu do mieszkania. W ciągu dnia odsypiam noc, przerywaną częstym odwiedzaniem łazienki. Niestety, tamsugen w tej sprawie niewiele działa. A żadnych proszków na sen nie biorę, jedynie wieczorem wypijam melisę. Ząb mnie na szczęście na razie po wczorajszej plombie nie boli, co uważam za dobrą prognozę. Oby tak dalej! Dziś obejrzałem kolejny, bodajże 9 odcinek filmu z cyklu „Cudowny świat przyrody". Jeden był zatytułowany „Zdumiewający powrót. Ryba Aju". Japonia. Drugi – „Szybki i schludny. Ryjoskoczek". Afryka. Pierwszy film pokazywał, jakie zmiany się dokonały w rzece Tama przepływającej przez stolicę Japonii Tokio w ciągu ostatnich 50 lat. Rzeka była zanieczyszczona ściekami i życie przyrodnicze w niej w latach 70. prawie zamarło. Teraz mamy dowód na to, że po wybudowaniu wielu oczyszczalni, a także tam, które są tak wykonane, żeby ryby mogły płynąć w górę rzeki, życie się w niej odradza, czego dowodem jest powrót ryby aju, której droga życiowa prowadzi od źródeł aż do zatoki tokijskiej. Drugi film pokazywał życie ryjoskoczka, którego wielkość jest porównywalna z naszą myszą. Jednak nie jest on gryzoniem, jak mogłoby się nam wydawać, ale dalekim krewnym słonia, z którym zresztą dzieli się na sawannie habitatem, podobnie jak z żyrafą. Ryjoskoczek bardzo dba o swoje ścieżki, którymi się porusza cały dzień, czyszcząc je i usuwając z nich wszelkie przeszkody. To pomaga ryjoskoczkowi szybko ukryć się przed czyhającymi na niego wrogami zarówno z dołu jak i z góry. Zabawne zwierzątko.

Czytając esej Jana Wierusza-Kowalskiego z „Zarysu dziejów religii", który pisze w nim o historii chrześcijaństwa po reformacji, nie mogę się nadziwić, jakiemu uległo ono rozdrobnieniu czy rozproszeniu. To pokazuje tylko, że brak jedności sprzyja tylko powstawaniu różnych sekt. Twórcami niektórych kościołów nie byli już uczeni teologowie, jak w XVI wieku, którzy prowadzą ze sobą spory dogmatyczne, jak było m.in. z Lutrem, Kalwinem czy Zwingliem, czy Janem Husem, ale jacyś wędrowni kaznodzieje, ludzie prości, nawiedzeni, jak sami mówili przez Ducha Świętego. Niektóre kościoły liczą dziś po kilkadziesiąt tysięcy wiernych, a czasami nawet mniej. Przez zasadę rozdziału kościoła od państwa znaleźli oni szczególne sprzyjające warunki do swego rozwoju w Ameryce Północnej, która stała się Mekką dla wielu wyznań.

Rafał Trzaskowski dziś w Gdyni na wiecu obiecał stworzenie ruchu obywatelskiego. Nadal toczy się spór między rządem a społeczeństwem o budowę kanału na Mierzei Wiślanej, a także o budowę tzw. portu centralnego koło Radomia. Chciałbym kiedyś usłyszeć od naszego premiera, że coś zawdzięczamy Unii, bo dziś tylko słyszę głos skrzywdzonego dziecka, już nie tylko gdy chodzi o sprawę reformy naszego sądownictwa, ale także teraz gdy chodzi o podział budżetu na następne lata. Też nas krzywdzą i dzielą niesprawiedliwie. I tak prawie ciągle. Powinna zatem do nas przylgnąć łatka „skrzywdzonego dziecka".

18 lipca 2020

Pogodnie, choć niebo bywa często zachmurzone, ale nie pada. Ciepło, w południe nawet do 25 stopni C. Rano po śniadaniu pobiegłem na rynek, by zrobić drobne zakupy. Ludzi pełno. Już są pierwsze śliwki wczesnych odmian, a także jabłka oraz wiśnie. Nie wspominam o czereśniach, porzeczkach i agreście czy malinach lub truskawkach, których sezon w zasadzie się kończy. Potem zabrałem się za odkurzanie mieszkania. Zdrzemnąłem się też chwilę, bo jednak częste chodzenie w nocy do łazienki swoje robi. Na szczęście mam na to sposób. Gdy trzeba, biorę między pierwszą a drugą, gdy się obudzę, pół proszka na sen i mam co najmniej 3 godziny spania bez przerwy, co daje mi pewien komfort.

Po południu, po 15.00, wybrałem się maluchem na spacer do Charzewic. Akurat podczas jazdy zaczął padać drobny deszcz, ale na drobnym się skończyło. W parku poszedłem na prawo, idąc między szklarniami i polem, gdzie nie ma komarów. Aleją dębową iść się nie dało. Przez środek parku płynie strumień, który jest wylęgarnią komarów. Niestety. Uzupełniłem też w maluchu płyn do wycieraczek, a także sprawdziłem poziom oleju w silniku. Trzeba się będzie zabrać także za porządki w garażu, ale to innym razem. Może w przyszłym tygodniu, kiedy wrócę z Rzeszowa. Zadzwoniłem też do mojej siostry w Łęczycy i z 20 minut porozmawialiśmy o sprawach rodzinnych. Basia, jej córka, pojechała do Chorwacji. Matką teraz, która ma lat 84, opiekuje się syn Radek. Dzwoniłem też do mego brata Wojtka do Płocka, ale chyba już spał, bo nikt nie podnosił słuchawki, a Zosia, jego żona, wiadomo, jest od początku nastania pandemii, w zakładzie u sióstr. Pewnie Wojtek wrócił ze swojej oddalonej o 40 km działki w Skępem, na którą jeździ rowerem. Była tam przecież też piękna pogoda. Porozmawiałem też przez telefon z moim kolegą ze studiów Józkiem K. Miałem go odwiedzić na wsi, gdzie mieszka i wybudował sobie dom, ale zdrowie mi na razie na to nie pozwala.

W mediach rządowych słyszę znów o niedobrej Unii, która nie chce nam dać tego, co chcemy i co się nam należy. Przodują w rym oszczędni Austriacy, Duńczycy, Holendrzy, a nawet Szwedzi i Finowie. Nie chcą dawać niczego za darmo, ale udzielać niskoprocentowego kredytu. Żadnych darmowych grantów! Jak to skomentować? Po prostu – niedobrzy ludzie, unijni biurokraci, tak myśli nasz rząd. I do tego w UE uzależniają wszystko od postępu w sprawach praworządności. A Ziobro i Jaki stawiają sprawę twardo: veto, czyli nie pozwalam, bo nam się wszystko należy, bo przecież jesteśmy unijnymi pionierami i przodownikami. Ze wszystkim najlepiej sobie radzimy, nawet z pandemią, choć liczba zakażonych nie chce nam zejść poniżej 300 dziennie, ani drgnie. Ale to już Ziobrę nie obchodzi. Praworządność? A co takiego? Każdy sobie rzepkę skrobie. Albo każdy jest gospodarzem we własnym domu. Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz! Prawda, panie Mateuszu?

cdn.

Mirosław Osowski

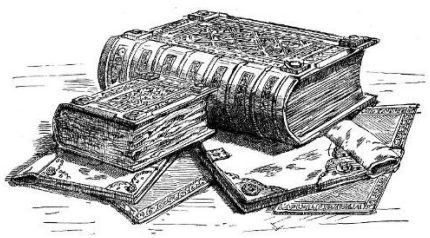

POEZJA

Danuta Bartoszuk, *Łóżko bez widoku*. Redakcja i słowo wstępne: Andrzej Dębkowski. Projekt okładki: Justyna Dudek. Zdjęcie autorki na IV stronie okładki: Ziemowit Kłujszo. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski, Zelów 2026, s. 84.

Elżbieta Musiał, *Poezje wybrane*. Opracowanie redakcyjne: Jerzy Dobrzański. Wstęp: Rena Marciniak-Kosmowska. Projekt okładki: Krzysztof Olechowski. Wydawca: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2026, s. 124.

Jerzy Paruszewski, *Wolność słowa*. Przekład na język rosyjski: Wiera Winogorowa. Przekład na język łotewski: Dagnija Dreika. Seria: „Biblioteka MSP". Międzynarodowe Stowarzyszenie Pisarzy, Ryga 2022, s. 160.

Katarzyna (Kachna) Skwara, *Kobieta*. Korekta: Aleksandra Krasińska. Projekt okładki: Maria Kuczara. Zdjęcie autorki na okładce: Bielc Art. Wydawnictwo ANAGRAM, Warszawa 2024, s. 78.

Małgorzata Skwarek-Gałęska, *ja i oni oraz... – rozmowy, próby, leczenia*. Przekład na język grecki: Ares Chadzinikolu. Korekta greko-języczna: Dauphnie Guy-Vouvali i Popi Aroniada. Wydawnictwo ANAGRAM, Warszawa 2026, s. 104.

Andrzej Tchórzewski, *Miedza i miecz*. Redaktor prowadzący: Szymon Gumienik. Redaktor techniczny: Iwona Banasiak. Korekta: Zespół. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Słowo wstępne: Marek Wawrzkiewicz. Posłowie: Andrzej Wołosewicz. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2026, s. 96.

Mira Umiastowska, *Bossa na jaw. Ekfrazy*. Redakcja, typografia. projekt okładki: Mira Umiastowska. Na okładce: Rafał Olbiński, *Dziewczyna z psem*, olej płótno. Fotografia autorki na okładce: Jadwiga Siwińska-Pacak. Korekta: Jolanta Bogusławska, Karolina Umiastowska. Wydawnictwo Miru*Libro*, Warszawa 2025, s. 100.

Magdalena Węgrzynowicz-Plichta, *Dekompresje.* Redakcja: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Grafika na okładce na licencji www.shutterstock.com. Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2025, s. 104.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Stefan Rusin, *Opium i blask*. Redakcja: Stefan Wysocki. Rysunki: Stefan Rusin. Skład: Jacek Antoniewski. Na okładce zdjęcie obrazu Caravaggia Dawid z gwiazdą Goliata – domena publiczna. Wydawca: Setidava – Wydawnictwo Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zofii Urbanowskiej, Konin 2026, s. 208.

Paweł M. Wiśniewski

Pozwól, że cię oprowadzę

Życie przemija. Nie obejrzymy się, a już mamy czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat. Świat porusza się w zwolnionym tempie, by dramatycznie przyśpieszyć. My natomiast obserwujemy to wszystko i się starzejemy. Proces ten jest powolny, lecz w obliczu dziejów wszechświata, szybki i nieistotny. Nasza osobowość trwa mimo to, obejmując swym zasięgiem kolejne partie istnienia. Gdyż ludzkość musi mieć cel, cel, który przyniesie jej ukojenie i przeciwstawi się nieubłaganej linii czasu.

Ale przy tych wszelako dostępnych nieścisłościach jakie dręczą ludzkość, występuję, jakby obok nich, poezja. Ta powoduje niemalże natychmiastowe szybsze bicie serca, przypływ melancholii, lub w niektórych przypadkach, odrzucenie. A jednym z poetów wskazujących niniejsze odczucia jest *Jacek Gutorow*. Urodzony w 1970 roku w Grotkowie, poeta, tłumacz, krytyk literacki, badacz literatury i eseista w niebywały sposób przybliża czytelnikowi piękno lirycznego „ja" jako dzieła poznania człowieka.

Gutorow w najnowszym tomiku Oczy szeroko otwarte rozważa sens istnienia, sens egzystencji jako podstawową próbę przetrwania ludzkości. Czym jest egzystencja, badana przez wielu przeszłych jak i ówczesnych filozofów? Czy nie jest ona może niczym dziewiąty miesiąc roku tym, co czyni, że: „Wszystko wraca na miejsce, przywrócona równowaga / w głowie i w sercu". (*MAAT*)

A może tym, co czyni ten proces lepszym, bardziej przystępnym i zapamiętanym przez pokolenia, które łączą wspomnienia i gesty w jeden wspólny węzeł. Węzeł wymagający wielu prób rozwiązania, lecz nie dającym się rozsupłać byle komu i czekającym na właściwą osobę.

W tomiku poetyckim Jacka Gutorowa pierwszą pozycję zajmuje jednak, pomimo całej rzetelności i kruchości ludzkiego losu, poezja. Ta niezrozumiała, ukryta w meandrach porównań i zapożyczeń wyrasta ponad je promieniejąc niczym najpiękniejsza z gwiazd nocnego nieba. Poezja nie znika, ale otacza nas ze wszech stron powodując trwałe zauroczenie. Gdy w ciemności nocy: „Nagle wyrwana ze snu zjeżdża / powoli na dół strony jak cicha / winda sunąca za rastrem siatki". (*POEZJA*), jest niczym poranna rosa unosząca się na powierzchni płatków róż. Poezja nie pozostawia po sobie pustki, rozwija się i pomimo swej uległości, utożsamia swą niezwykłość.

Czytając poezję Gutorowa nieodzownie nasuwa się wniosek, że jest ona adresowana do każdego, kto potrafi kontemplować liryczne „ja". Poszukiwanie odległych powiązań jakie na kartach tomiku poetyckiego się przewijają są niczym archeologiczne odkrywanie przeszłości. Odnalezione artefakty promienieją swym blaskiem, tajemniczością i niesamowitym wręcz magnetyzmem. Poezja wyrasta ponad wszelkie dotychczasowe ujęcie znanej literatury. Gutorow „na nowo" stwarza świat, który wybiega znacznie dalej niż ten, jaki występował w niezliczonych podobnych publikacjach pozbawionych jakiegokolwiek sensu i znaczenia.

Oczy szeroko otwarte to niezwykły zbiór wierszy jakich dzisiaj niewiele możemy przeczytać. Autor drobiazgowo przedstawia czytelnikowi piękno opisywanego świata, który poprzez utwory poetyckie, rozkwita niczym rzadki kwiat. Objawiająca się w wierszach rzeczywistość jest obszernym przypomnieniem czym jest poezja, jakie są jej podstawowe powinności. W utworach Gutorowa nie znajdziemy zbędnych niedopowiedzeń, stylistycznych fajerwerków czy innych tego typu udogodnień. Poezja jest czystym przekazem, pięknym w swej prostocie i nieskazitelnie swojskim odbiorze. Jacek Gutorow prowadzi obserwacje świata jaki go otacza. Zainicjowane w ten sposób myśli, rozważania, notuje w formie wierszy, będących krytycznym a zarazem analitycznym kontemplowaniem realizmu. Z każdym kolejnym utworem wchodzimy w osobiste ciche miejsce odosobnienia autora, gdzie samotnie prowadzi pamiętnik przemijania. Razem z poetą możemy koegzystować w niełatwym dramatycznym pejzażu. Pejzaż ten malowany słowami a nie farbami powstaje w powolnym tempie, lecz jest tworzony z nieubłaganą cierpliwością. Gdy zostanie ukończony, efekt nas oszołomi.

Paweł M. Wiśniewski

Jacek Gutorow, *Oczy szeroko otwarte*. Redakcja: Jacek Bierut. Korekta: Aleksandra Zoń. Opracowanie graficzne, ilustracje, skład: Artur Skowroński. Wydawnictwo j, Wrocław 2025, s. 72.

Mirosław G. Majewski

Buszujący w antykwariatach

(12)

Życie – to wielkie morze
pełne różnych ryb.
Zarzuciłem sieci
i zbieram połów.

To motto autobiografii **Langstona Hughesa** „Wielkie morze".

Langston Hughes – kto to taki? Kto o nim słyszał? Kto go czytał?

Hughes to afroamerykański pisarz którego biografię „Wielkie morze" wydało wydawnictwo Czytelnik w 1949 roku w przekładzie młodego Juliusza Kydryńskiego (starszego brata Lucjana), i o ile mi wiadomo nigdy więcej nie było wznawiane. A szkoda. Można jedynie się domyślać dlaczego książka amerykańskiego pisarza była wydana w komunistycznej Polsce za rządów jego „ekscelencji" towarzysza Bieruta.

Ale zostawmy te dygresje i skupmy się na autobiografii którą czyta się naprawdę przyjemnie, Hughes bardzo często używa określenia które Kydryński przekłada na *murzyn*. Określenie, które dziś brzmi cokolwiek pejoratywnie, gdyż język polski nie wymyślił lepszego (nie przewidując czasów poprawności politycznej), a więc Langston Hughes jest murzynem, i co najważniejsze kocha swoją przynależność rasową w przeciwieństwie do swojego ojca który jest szanowanym, czarnym biznesmenem w Meksyku i gardzi kolorowymi bez względu na odcień skóry, co jest swoistym paradoksem. Młody Langston dwukrotnie przebywa u ojca w Meksyku, rozwiedzionym przed laty z jego matką, która wyszła za mąż za innego czarnego faceta i na bezdechu klepią (jako kolorowi) biedę. Hughes senior chce posłać syna na nauki do Szwajcarii widząc przyszłość juniora jako inżyniera pracującego w branży kolejowej. Problem w tym że młody Langston kocha Harlem i murzynów, czarny folklor, bluesa i rodzący się jazz, a co najważniejsze ma ambicje zostać pisarzem a nie inżynierem pracującym w Meksyku czy w Europie. Ojciec Langstona co do jednego ma rację, USA nie jest krajem dla kolorowych, szczególnie na południu, w którym to regionie 80% członków Ku Klux Klanu to baptyści. I tu mała dygresja, pierwszy transport niewolników z Afryki zakupili bogobojni purytanie. Z autobiografii dowiadujemy się o różnych perypetiach jakich doświadcza Langston z powodu koloru swojej skóry. Przykładem niech będzie jego powrót do USA po pierwszym pobycie w Meksyku, kiedy to sprzedawca lemoniady na dworcu kolejowym pyta Langstona czy jest murzynem czy Meksykaninem, Langston odpowiada że jest murzynem i nie zostaje obsłużony. Witamy w USA, sarkastycznie komentuje to wydarzenie Hughes. Takich smaczków znajdziemy w tej autobiografii bez liku, są rozdziały, które ocierają się o powieść łotrzykowską, Langston nie jest artystą salonowym, przyjeżdża do Francji z siedmioma dolarami a po roku wyjeżdża z jednym. Europa tak jak Meksyk nie jest rasistowska, wszystkie kolory skóry są mile widziane, wszystkie lokale są dostępne dla wszystkich pod jednym warunkiem, że masz czym zapłacić. Langston nie ukrywa swoich proletariackich inklinacji, irytuje go nie tylko amerykański rasizm ale przede wszystkim nierówności społeczne co podkreśla w jednym ze swoich poematów.

Lata dwudzieste XX wieku, szczególnie w „europejskim" Nowym Jorku to złota dekada dla czarnoskórych artystów. Jest moda na murzynów, na ich twórczość i to nie tylko w muzyce, która, niestety, kończy się wraz z nadejściem wielkiego kryzysu w 1929 roku. Myślę, że chociaż w drobnym stopniu zachęciłem do przeczytania tej książki. Na koniec tych refleksji chciałbym oddać głos samemu autorowi który w rozdziale POSTSCRIPTUM pisze:

Poezja nie dawała mi przeważnie żadnych dochodów (chętnie i z wdzięcznością dawałem wiersze każdemu kto chciał je drukować), a na krótkich opowiadaniach czy artykułach zarabiałem bardzo mało. Powieść dopiero co się ukazała. Dwa tomy wierszy wyszły co prawda w drugim nakładzie, ale w żadnym wypadku nie stanowiły poważnych źródeł dochodu. Wielcy wydawcy nie znali jeszcze mojego nazwiska i nie zdradzali chęci poznania go. Moja sztuka pt. „Mulat" nie została wystawiona.

Mimo to postanowiłem wreszcie i nieodwołalnie zostać pisarzem – zawodowym pisarzem, utrzymującym się z pióra.

I słowa dotrzymał!

Langston Hughes, Wielkie Morze, Czytelnik 1949.

Mira Umiastowska

Inicjacja

Harmony of Errors
[Harmonia błędów]

Mam dla Ciebie sukienkę w deszcz
Od której kwitną róże
Mam dla Ciebie wiosnę z chmur
W pięciolinie
Na których różyczki różowe drżą
Takie dziewczęce acz takie dziecinne
Ten deszcz na sukience dźwięk G
Kiedy rośniesz tak pięknie
Jak kijanki w rybę
Masz tyle wiosny w sobie
Ile nadziei we mnie
Na starość czerwieni róż
Na sto dni przed maturą
Na delikatność różowych nut
Błagam – Nie zachodź chmurą

Papierowe wyzwanie

Nieważkość obustronnego urojenia

Potem nastąpi reszta
Tak samo niema
Jak wyobraźnia piasku

I tylko fale przepływać będą
Jakoś tak bez brzegu
Jako paradoks *Cote d'Azur*

Bez szumu muszli Bez szeptu
Zapachu sardynek
O twarzach z papieru

Które rozmiękną Jak urojenia
O nieważkości skrzydeł
Zastygłych w bursztynie

Księżycowy chłód

Disappearance of a Theme Resulting
from Good Intentions

Pospiesz się mój Panie
Z trenu mojej sukni wstęgi rozwijanie
Im bardziej tym dalej
Tym nic nie zostanie
Tym dystans do sedna
W księżycowy chłód

Gazeta Kulturalna
Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97–425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (44) 634 10 98; 504 63 05 43; e–mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor naczelny – **Andrzej Dębkowski**.
Współpraca: Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Stefan Jurkowski, Eugeniusz Kurzawa, Sławomir Łuczyński, Barbara Medajska, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadamiania autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF", 98–113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677–41–56.